



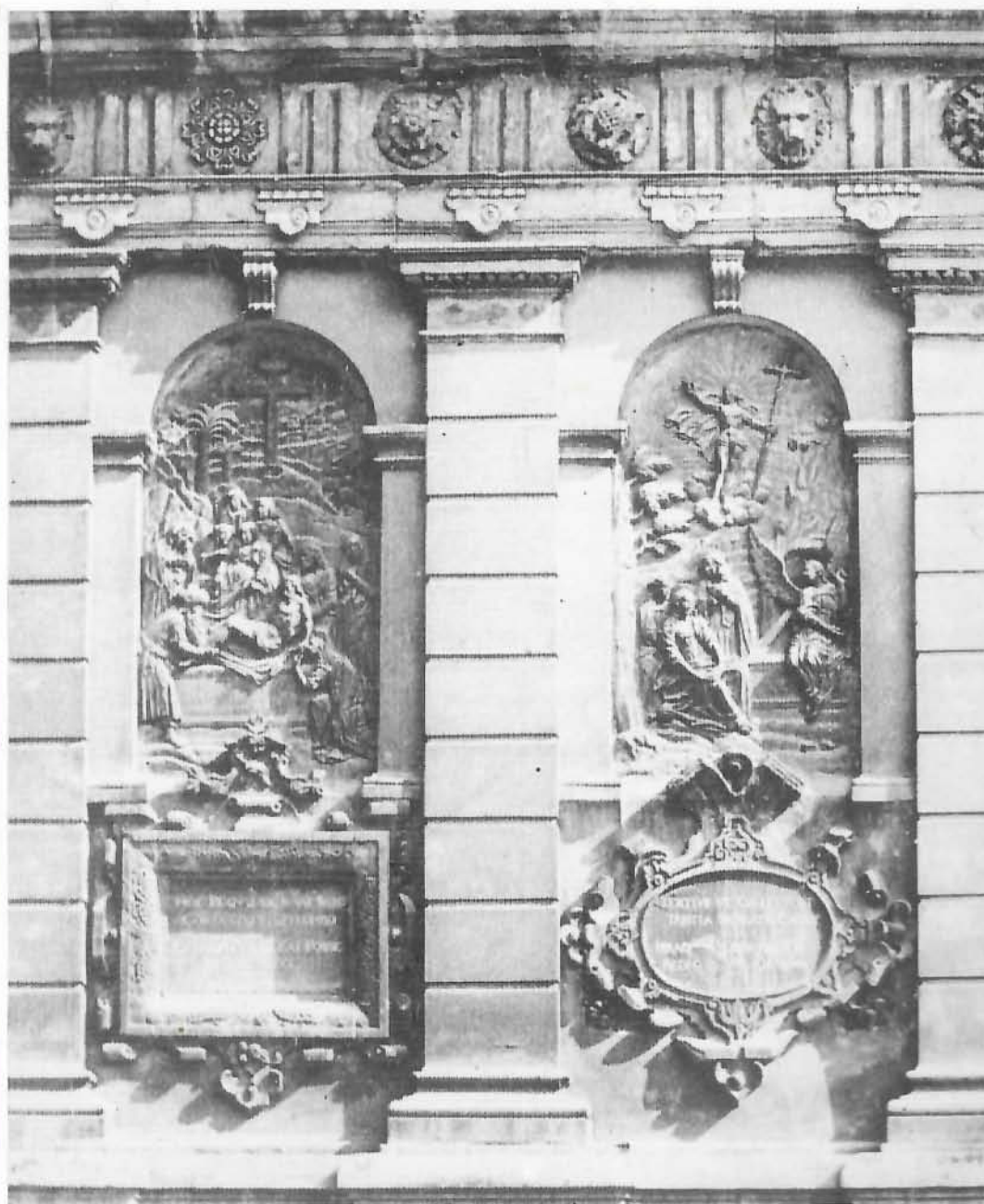
SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ
1995

2 (25) 1995

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



DANUTA NESPIAK Czwarty świat	1
JERZY MASIOR Plac Św. Antoniego	3
TOMASZ CIESZYŃSKI Działalność Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie w czasie II Wojny Światowej od września 1939 do sierpnia 1944 roku	5
ADAM WARTALSKI Krystynopol	8
ANNA WYPYCH-GAWROŃSKA Lwowski teatr operowy i operetkowy w latach 1872–1918	10
LESZEK SAWICKI „Burza” po „Burzy” (Posłowie)	12
EMIL HLIB Spacery bliższe i dalsze c.d.	15
EWA DANEK Wspomnienia z „Dziennika lekcyjnego” — tajnego nauczania	17
JADWIGA KALUSCHA Tak się to zaczęło	18
JANUSZ RAGANKIEWICZ Wypędzeni	21
KRZYSZTOF BULZACKI Lwowskie sylwetki ... gen. Stanisław Maczek	23
Z ŻYCIA TOWARZYSTWA	25
NASI CZYTELNICY PISZĄ	29
WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM	33
AKTUALNOŚCI I APELE	34
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	36

Na okładce: sceny pasyjne (Złożenie do Grobu i Zmartwychwstanie) z Kaplicy Kampianów, dłuta wrocławsko-lwowskiego rzeźbiarza Jana Pfistera. Zrobił także Kaplicę Boimów. Na handlowo-kulturowym szlaku Wrocław — Lwów pozostawił swoje dzieła w Tarnowie i Rzeszowie. Najbardziej znaczące powstały w kaplicy zamkowej i w Brzeżanach (nagrobki Sieniawskich). We Lwowie ożenił się z Katarzyną Świątkiewiczówną i tam już pozostał. Syn (również Jan) odziedziczył po nim talent i fach. Córka Anna wyszła za szlachcica, Bartłomieja Kowalkowskiego.

fot. Zdzisław J. Zieliński

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof BULZACKI, Andrzej CHLIPALSKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBICKI

Redakcja: Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna: Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Maria WANKE-JERIE

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-051 Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji: Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

JERZY MASIOR

NA WIELKANOC

Przyniesiemy do domu bazie
I leszczynowych seledynów.
Słońce zza rogu nas porazi,
Pozielenieje Zamarstynów.

Zawilce z Pohulanki — podmiejskie wesele,
Tarnina na Kajzerwaldzie pęcznieje.
Ten dzień pozostał, a to już tak wiele,
Wracajmy — coś się dzieje.

Wracajmy po tamtą Wielkanoc,
Po fiołki dla niej na Antoniego,
Po dni rozkołysane,
Miejsca poświęconego.

Czwarty świat

DANUTA NESPIAK

5 marca tego roku, w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu, szliśmy szybko ul. Jagiellońską. Było już ciemno, ale przy skręceniu na ul. 3 Maja zauważyłam jakąś kobietę. Trzymała w ręku bukietki śnieżyczek. Przyspieszyliśmy jeszcze kroku uważając, by nie potknąć się na wybojach chodnika biegnącej w górę ul. Kraszewskiego. To straszne, Lwów się rozsypuje — powiedział mój towarzysz, elegancki mecenas z Wrocławia, który jako 6-letnie dziecko wyjechał stąd z rodzicami w 1946 roku. Przyznałam mu rację, bo za każdym pobytam tutaj mam uczucie, że wykrusza się substancja miasta, mego miasta z 1939 roku, bo obskurne blokowiska, które narosły wokół to zupełnie obca tkanka, która mnie ani ziębi, ani grzeje.

Nazajutrz w poniedziałek wrocławska lwowianka (często jeździ tu z pomocą) powiedziała nam, że przed południem na ul. Jagiellońskiej spotkała bardzo starą kobietę sprzedającą bukietki śnieżyczek, a ona tknięta przecuciem zapytała — Pani jest Polką? Tak, to była Polka prawie 90-letnia, małe skulone chucher-

ko, od której Janka kupiła kwiatki, wysypując jej na dłoń wszystkie pieniądze z portmonetki. Tamta powiedziała, że przeżyje za to pół roku. Być może była to ta sama kobieta, którą mineliśmy w niedzielę wieczorem na Jagiellońskiej, jedna z tych kilkuset samotnych starych Polek dożywających swoich dni dzięki pomocy rodaków, kościoła czy ludzkiej litości, urodzonych za czasów Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa, panien pamiętających Obronę Lwowa w 1918 roku, potem mężatek i matek, których synowie i córki w niezapomnianym lwowskim dwudziestoleciu przeżywali swoje dzieciństwo w szkole i na podwórkach pełnych Tońków i Józków, Marków i Szmulów, Maryś, Staś, Janek a także Ester i Rywek. To dzieciństwo w tej mikro-Europie, która sięgała do Zbrucza, przerwane zostało tragicznie we wrześniu 1939 roku. Zawalił się tam świat budowany przez 20 lat.

Lwów dzisiaj, to nie tylko jak w piosence „zagranica”, to nie trzeci ale czwarty świat, obcy kompletnie polskiej tradycji, o któ-



Wszystkim naszym
drogim Czytelnikom
i Sympatykom
w kraju i za granicą,
tym, których słowa zachęty
i wsparcie
pomagają nam
w naszej pracy,
składamy
najlepsze, kresowe życzenia:
pogodnych, dobrych,
przynoszących nam nadzieję
Świąt Wielkiej Nocy
i Zmartwychwstania
Pańskiego

Redakcja

rej mówi tylko materia jego pięknej architektury, dawne znaki i coraz mniej czytelne napisy, secesyjne balustrady w lepkich od brudu klatkach schodowych śródmiejskich kamienic i ich szare od kurzu kute kraty i reliefy rzeźb na drzwiach. Jeszcze znaleźć można dekoracyjne listowniki, mosiężne i solidne z napisem „Listy i gazety” ujęte w secesyjne esy-floresy. Pukałam od takich drzwi na ul. Sykstuskiej. Kto tu mieszkał kiedyś? Czy 13 kwietnia 1940 roku w te drzwi w nocy łomotał kolbą enkawudzista z krzykiem „adkrojtje warota!” Przerażająca azjatycka rzeczywistość przekroczyła Zbrucz i z Kresów Wschodnich jechały transporty aresztowanych, deportowanych do odległych tysięcy kilometrów głodnych stepów, do tajgi, na Kołymę i Workutę, do samarkandzkiej obłasti, gdzie marli z nędzy, głodu i tyfusu.

W 1940 roku pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych przypadał 24 marca. Było to już po pierwszym dużym wywozie lutowym. We Lwowie w kościele św. Marii Magdaleny, proboszcz ks. Włodzimierz Cieński wygłosił krzepiące patriotyczne kazanie — cierpimy ale przetrwamy, bo Zmartwychwstanie jest końcem Kalwarii. Potem przyszły jeszcze gorsze dni dla Lwowa i Małopolski Wschodniej, zwłaszcza ta noc z 12 na 13 kwietnia. To trzeba było przeżyć, aby dać wiarę — zapisała we wspomnieniach Beata Obertyńska (W domu niewoli. Wyd. III Londyn 1988 s.28). Tej nocy miał miejsce największy wywóz Polaków ze Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich — w bezkres sowiecki wywieziono 330 tys. osób.

W PRL-owskiej historii był to temat b. długo zakazany, wokół którego panowało urzędowe milczenie. Nie napomknął (chyba do tej pory nawet) towarzyszył generał Jaruzelski, że jego wywieziony ojciec zmarł w Bijsku w Altajskim Kraju na Syberii a zdjęcie grobu dał mi we Lwowie właśnie Polak, który był w Bijsku. Natomiast polskie ośrodki emigracyjne wydały setki publikacji o masowych deportacjach obywateli polskich do ZSRR. Wydana w 1943 roku w USA dokumentacja dotycząca tych problemów (Polish-Soviet Relations 1918-1943, Washington 1943) oparta została na źródłach zgromadzonych przez ambasadę RP i podaje ona, że z miasta i okolic Wilna, Lidy, Grodna, Białegostoku wywieziono 300 tys., z Nowogródka i Polesia 200 tys., z Wołynia 150 tys., a ze Lwowa i Małopolski Wschodniej 400 tys. osób. Do tych liczb dodać należy około 250 tys. polskich żołnierzy wziętych do sowieckiej niewoli oraz deportacje w głąb ZSRR w latach 1944-45 członków AK z Kresów Wschodnich, których liczbę trudno nawet dzisiaj dokładnie ustalić. Między akcjami deportacyjnymi w lutym i kwietniu 1940 roku wywożono również i w marcu. Przez stację w Baranowiczach przejechało 10 pociągów z chłopami polskimi z woj.

białostockiego, tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego.

Po 55 latach nie wiemy dokładnie, jaka była skala tej zbrodni, na którą na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej nałożyła się jeszcze zbrodnia ludobójstwa popełniona przez UPA na obywatelach polskich. Sprawiedliwość nie zemsta wymaga osądzenia każdej zbrodni. Osądzenie zbrodni hitlerowskich miało miejsce przecież zaraz po wojnie, a ogrom zbrodni komunizmu wobec podbitych narodów — bo nie tylko Polacy byli jej ofiarami — nie doczekał się Norimbergii nr II. Czy ta sprawa nie nasuwa oświeconemu Centrum Praw Człowieka przy ONZ w Genewie żadnych moralnych rozterek, nawet aktualnie w wypadku Czeczenii? Jeżeli chodzi o drugi polski nie osądzony do tej pory dramat tj. ludobójstwo popełnione na Polakach przez UPA, to na razie jedynym znakiem sprawiedliwym wobec tej organizacji jest fakt, że na Ukrainie nie posiada ona statusu organizacji kombatanckiej. Dla Polaków kresowych bilans historii XX wieku jeszcze nie został dokonany, nie osądzono wszystkich zbrodniarzy, nawet o ironio, naszych własnych, polskich z okresu PRL-u.

Wśród członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich są osoby, których przeżycia w czasach rzezi banderowskich czy w łagrach sowieckich są niewyobrażalne dla ludzi formatu p. Kuronia, Pawlaka, Jaskierni, Millera, premiera Oleksego i wielu innych nie tylko z koalicji ale i Unii Wolności. Prezes Oddziału Częstochowskiego TML i KPW dr med. B.Radomski przeszedł najpierw tortury w więzieniu NKWD w Drohobyczu a potem 10 lat pracy w łagrach syberyjskich na Kołymie oddalonej od polskiej granicy jałtańskiej „tylko” 17.250 km. Pracował m.in. w kopalni rudy kasterytu, gdzie więźniowie masowo umierali z głodu, chorób i nieludzkiej pracy. Pozostało tam na zawsze w obozie w Budiczagu, w leśnych lodowych grobach, prawie 1000 Polaków przeważnie żołnierzy AK (B.Radomski: Z Sambora na Kołymę. Wspomnienia Sybiraków, t. VI, Warszawa 1992 s. 59).

Myślę, że gdyby p. Pawlak miał za sobą pobyt na Kołymie, to w rozliczeniu długów między ZSRR a PRL nie przyjęto by przy ustaleniach opcji zerowej. Czy ktoś w ogóle z kolejnych polskich rządów zaprzętał sobie głowę sprawą odszkodowań za niewolniczą pracę, śmierć, przepadek całego mienia obywateli polskich wywiezionych do ZSRR? Przeciwnie — niedawno Sąd Wojewódzki we Wrocławiu zasądził Andrzejowi Z. pochodzącemu z Borysławia 1 miliard zł. odszkodowania za pobyt w radzieckich łagrach i zesłanie (Miliard za łagry. Wieczór Wrocławia z dn. 23-26.12.1994). Polska zapłaciła swojemu obywatelowi, ofierze sowieckiego terroru. Dlaczego nie Rosja?

Gdyby prezydent Wałęsa zamiast przez ogrodzenie stoczni gdańskiej skakał na krze lodowej rzeki Amur w Chabarowskim Kraju a do Permu dotarł jak dr Radomski w skarpetkach (bo mu pod Moskwą ukradli buty), to być może nasza polityka wschodnia wyglądałaby trochę inaczej. A jeszcze, gdyby nie daj Boże, musiał uciekać z p. Wachowskim z podpalonej przez banderowców wsi na Wołyniu czy w tarnopolskim, mielibyśmy może min. spraw zagranicznych pochodzącego z Kresów, a poseł Kuroń nie dostawałby delegacji do Lwowa. Pana posła we Lwowie (gdzie nie spotkał się z przedstawicielami polskich organizacji) ten posowiecki krajobraz zupełnie nie razi i jest mu chyba obojętne, że zniszczony tam został kawałeczek Europy, że sypie się zabytkowa architektura, nie ma wody (kiedyś najlepsza w Polsce) i zapadają się chodniki. Powstał tam czwarty świat (zupełnie inny niż tzw. trzeci świat), który nosi cechy obyczajowe, społeczne, gospodarcze i polityczne epoki komunizmu mimo budowanej konsekwentnie przez miejscowe władze ukraińskości Lwowa. Może zresztą są gdzieś i tacy, którzy rozumieją, że ochrona polskiego dziedzictwa we Lwowie w sensie dzisiejszym to rewaloryzacja substancji zabytkowej, stanowiąca kwintesencję wartości miasta i dająca jakieś podstawy do odbudowy kulturalnej wspólnoty Europy, która wyrosła na dziedzictwie świata grecko-rzymskiego i na chrześcijaństwie.

Czwarty świat, z którym się teraz spotykamy na Kresach Południowo-Wschodnich, budzi nie tylko głęboki sprzeciw przez swoją biedę, brud, prostactwo, brak nawiązywania do wspólnych historycznych więzów, śmieszna megalomanię, budzi też i zrozumienie, że ten ubogi, niechlujny tłum, ni to mieszczański ni chłopski, ukraiński ale z domieszką rosyjskiego, zalewający śródmieście Lwowa urodził się i dojrzewał w sowieckiej do niedawna rzeczywistości, która paradoksalnie potęgowała obydwa nacjonalizmy.

Mój nowy znajomy z ul. Sykstuskiej, inteligentny, w gotliebowskiim typie Żyd rodem z Chersonia, artysta malarz, który sam nauczył się języka polskiego i pokazywał mi powieści Schultza oraz poezje Słowackiego, wyjeżdża wkrótce ze Lwowa. Będzie mieszkał w Düsseldorfie. Dlaczego nie w Izraelu? — zapytałam. Wie pani, pokochałem Europę a ona tu nie ma szans. Dopiero na starość zamieszkać w Jerozolimie — odpowiedział.

W czwartym świecie we Lwowie żyją też Polacy, pół-Polacy z małżeństw mieszańców, ćwierć-Polacy po dziadkach. Ale to już osobny temat. Niech im wielkanocne dzwony przyniosą nadzieję.

Danuta Nespiak

Przed wielkanocną porą Łyczaków nasiąkał wszystkim: ciepłymi podmuchami z Cetnerówki, Pasiek i pobliskiego Kajzerwaldu, baziami, fiołkami i różnym najwcześniejszym kwieciami wiosennym na placu Antoniego i całym tym ludzkim, tramwajarsko — dorożkarskim, handlowym i Bóg wie jeszcze jakim omotaniem przestrzeni.

Pamiętanie, ale jakie

PLAC ŚW. ANTONIEGO CZYLI SABAT POETÓW

JERZY MASIOR

Takim odurzeniem szczególnym i wydać by się mogło, że tu, we Lwowie — dotykającym, konkretnym. Ale czy aż tak bardzo? Gdy dziś, z oddalenia wielkiego spoglądam na mój Łyczaków, na jego plac, to doprawdy małą mam pewność, że przestrzeń zwana placem św. Antoniego, ta zatoka ulicy Łyczakowskiej nieomal pośrodku jej biegu, była li tylko materią okoloną budynkami, murami, parkanami, z dopływami i odpływami ulic, nasączona ludźmi i ich codziennymi sprawami. Tak by się wydać przecież mogło, bo to miejskie targowisko pulsowało między niedzielami, zwykłą, łyczakowską codziennością wśród przycupniętych, okutanych marcowo kwietniową porą przekupek, a gdzieś tam w głębi placu, wśród straganów i bud targowych, gdzie to lepsza batiarnia handlowa się zbierała i dobijała targów — szum niczym u pszczelich uli w dzień pogodny był słyszalny.

Plac był mi bliski, bo z Leśnej jej króciutką stromizną i jeszcze krótszą Słodową, zbiegałem doń w kilka minut. Chłonałem jego powietrze i krajobraz bezwiednie, a jednak tak tu, jak i z całej mojej lwowskiej okolicy odciskałem w bardzo wtedy jeszcze plastycznej pamięci szczegóły, drobiazgi i największe gabaryty otoczenia. Plac św. Antoniego urodą nie grzeszył. Pewnie dlatego nie zniecił Erba z jego paletą tak ochoczo utrwalającą lwowskie przekupki i tęczę ich jarzyn i owoców na lwowskim rynku. Żadnego tu, modnego dziś przestrzennego planowania, żadnego pomysłu dla użytkowników. Ot rozrastał się Łyczaków, pęczniał, ciągnął pod górę, zachłannie spoglądał na okolice „za dragiem”, ku Pasiekom. Wykupił więc magistrat u początku wieku od niejakiego Hofficha murszejącą rudę, w której podła szynkownia tylko zgryzot łyczakowskim krupiarzom za mężowską przyczyną przysparzała — wyburzył ją doszczętnie i tak oto zrobiło się miejsce handlowe. Wyburzona rudera osłoniła coś, co o zachwyt nie przy-

prawiało: jakieś fajermury tynkiem nawet nie otulone, przybudówki i komórki w mnogości, jak to wtedy na każdym lwowskim podwórku, parkany zetławe, ledwo, ledwo osłaniające pobrowrane od Słodowej pozostałości. Tkwiły tu także czynszówki dookolne upozowane na miejskość, a tak naprawdę to siódmą były popłuczyną po wiedeńskim, secesyjnym likworze. Do tego spływ kilku naraz ulic z różnych stron czynił z placu jakby rozgwiazdę o niewielkim tułowiu, przeto wciskała się weń pasieczno — gliniarsko — winnicza kramarska ciasnota, przetykana to kwiatami, to zieleniną jadalną, to nasionami, krupami, złocistością kukurydzy, podolską cebulą i czosnkiem przedrodnym, naprzemian z ptactwem żywym i uśmierconym, w zgodzie z rąbkańką i słoniną na pięć palców.

Pochylone nad placem od północy budynki nieustannie były szpetne i ... nijakie. Jakby pozostawione losowi a nie właścicielom. Tak nijakie, że Patron święty placu tarasowymi schodami ze swojej świątyni nie ku niemu, a ku Łyczakowskiej zstępował, a rokokowa Madonna wręcz się od niego odwróciła. Wymienię ulice z tej właśnie nie prześlizgniętej strony: Słodowa, Józefa, Mała. Na ich zapleczu jakby dopływy: Wyspiańskiego, Piaskowa, Leśna, Kurkowa. Z tych to ulic nanosiło na plac wiatrów, deszczowych, piaszczystych spływów, a zimną naszych saneczek z kuszących tu wszędzie szybkością stromizną. Pierzeja po drugiej stronie Łyczakowskiej szlachetniała. Narożna kamienica z markowymi sklepami Meinla, Szenfelda; ulica Głowińskiego — trakt choroby i zdrowia, bo do największych klinicznych szpitali lwowskich prowadziła, przy niej także szpital dziecięcy św. Zofii, powszechnie „szpitalikiem” zwany, w którym co przedniejsi luminarze tamtejszego, medycznego parnasu mikrusom lwowskim, uszczerbki na zdrowiu reperowali. Przystanek tramwajowy „jedynki” pod kasztanami, był chyba najważniejszy przy Łyczakowskiej, a to z przyczyny targowi-

ska o asortymencie nieograniczonym i w dzielnicy jedynej, pobliskich szpitali, świątyni patrona od zgub strat wszelakich, na dodatek parafialnej. Różne też przy nim odbywały się wsiadania i wysiadania, zazwyczaj nie w pojedynkę, do nie zawsze określonego miejsca i celu podróży. Wielkanoc, przedwiośnie, to na placu pęki bazi, bukietki fiołków i śnie-żyček sprzedawanych przez podmiejskie babiny i dziewczęta pod murem kościelnym i tuż przy przystanku. Tam, gdzie najruchliwiej. Niosła się Łyczakowską wiosną placem i ulicami. Szumiała i grała wszystkim, co mogło wydawać dźwięki, co wpadało w zwirowany rezonans, zwirowanej pory roku na Łyczakowie, ba, w całej okolicy pod Wysokim Zamkiem. Nad przestrzenią materii i ludzi zawiśł wówczas i trwał nocami i dniami fluid nienazwany, bardzo tamtejszy, lwowski, który nie uleciał stamtąd do dziś i jest po zakątkach naszych najintymniejszych, i który sprawia, że powracamy... A wiersz stamtąd, piosenka od zawsze nucona, wzruszają, wyciskają łzy bezwstydne i nieodmiennie przyspieszają rytm serca.

Zatrzymajmy się na chwilę przy placu św. Antoniego. Zatrzymajmy się jednakże nie tam, a tu: we Wrocławiu, Gliwicach, Warszawie. Wszędzie, gdzie jesteśmy. Gdzie jeszcze jesteśmy. Zafundujmy sobie spektakl na odległość i niech to będzie od teraz plac zaczarowany. Przedwieczną, jakowąś porą staje się rzecz dziwna: znikają z placu przekupki, stragany i wszystkie handlowe utensylia. Rozkwitające nad przystankiem kasztany rozmnażają się, otaczają targowisko kręgiem cienistym i wonnym. Staje się przejmujący wieczór na pustym placu. Nie, nie na placu, a na proscenium tej okolicy. Czynią jasność gazowe latarnie, kierując swoje światło ze szczególną mocą na środek przestrzeni. W kasztanowym mroku przystanęli widzowie. Rozpoznajemy siebie. Jesteśmy poruszeni, bo wiemy, że za chwilę, na tym Łyczakowskim proscenium rozegra się misterium. Na dowód jak bardzo niematerialne może być to wszystko, co było tłem naszej młodości: kamienice coś tam udające, nieotynkowane fajermury, wonne podwórka, kocie łby uliczek. Jacy aktorzy, jaki dramat, czy krotoczwila w zaczarowanym na chwilę świetle ulicznych latarni?

Jest już pośrodku kręgu światła bladolica Klio — bogini poezji. Kogo przywoła? Jakie dramatis personae zaludnią proscenium. Akcja toczy się wartko, tak jak życie w tej okolicy. Od Słodowej pojawia się ten, który Lwów na swój sposób ukochał najbardziej — Henryk Zbierzchowski — Nemo. Z ogrodowego gąszczu Podchorodeckich, ze swojego mieszkania przy ul. Piaskowej 19, w młodopolsko fantazyjnie zarzuconej pelerynie, jest tu ciemnym obłokiem poezji, która nad nim nisko, niziutko pomyka od światła, do ludzi, do braci artystycznej u Atlasa, albo i gdzie indziej, bo to pora muz, śpiewu i wina. Zafasowany, spieszenie znika w mroku kasztanowym: nie ma jeszcze gotowych wersów do jurzejszego wydania „Wieku”. Muza na-

wiedzi go przy atlasowym stoliku. Napisze „Kocham cię Lwowie...”. Chłopak redakcyjny wiersz pochwyci, rano wydrukują.

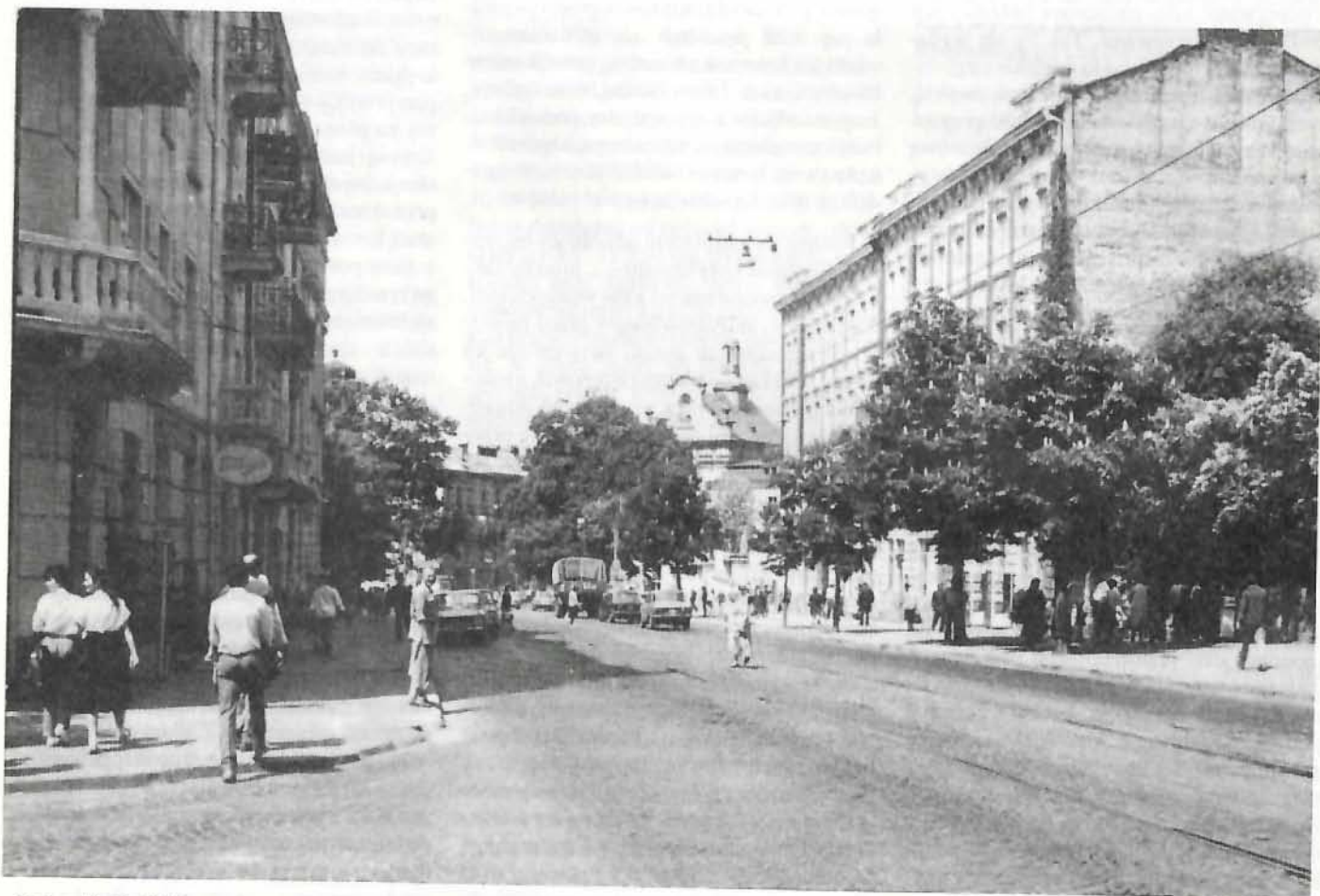
A oto z tej samej strony wtaczają na plac w niemowlęcym wózek bobasa różowego — chłopczyka. Jest okupacyjna noc i Klio wraz z pozostałymi bogami zatrwożeni o los małego. To Adaś Zagajewski, też z Piaskowej, też z ogrodu, tylko po parzystej stronie ulicy. Poeta z niego wyrośnie tęgi, choć ojciec szamanem jest od elektryczności i późniejszy profesor politechniki wysiedleńców, czyli w Gliwicach. Niemowlęce oczęta Adaśka ówczesnego Lwowa nie zapamiętały, jednak hipnotyzuje go to miasto, bo z zakamarków serca zapyta: „Z którego dworca jechać do Lwowa?” i jeszcze napisze „Było za dużo Lwowa (Nie mieścił się w naczyniu, rozsadał szklanki... zamieniał się w ogień i burzę...)”. To on, spod Kajzerwaldu maleństwo, stwierdzi: „Lwów jest wszędzie”. Oh Adaśku, Adaśku, jak bardzo dobrze to wiemy. Poeta znika. Jest lwowską ulotnością zaledwie, jest przeczuć Miasta. Jego spojrzenie na plac, na Piaskową, nie będą nigdy naszym spojrzeniem. Myśmy z Miastem dojrzewali, a teraz jakoś tak tu nam dziwnie: nie obco, nie swojo, tacyśmy jakby „bezprizorni”. Zagajewskiemu takie odczucia nie są znane. Ma dystans. Przydatny, poetycki dystans. Potrzebne i nam niekiedy takie odczytanie Miasta.

Ciszej się robi pod kasztanami, jaśniej na placu. Pojawia się ten, który ma najbliżej: Zbigniew Herbert. Mieszka na Łyczakowskiej, tuż, tuż, nad pigularzem Błądzińskim. Mój rówieśnik, a więc placu bywalec. Jest tu jak na swoim. U niego nie ułomna pamięć tworzy plan Miasta, „rozgwieżdżone ulice, planety dalekich placów, ogrodów, zielone mgławice”. Pamiętam sklep Paszandy, starego Bodeka, „co noc (staje bosy) przed zatrzaśniętą bramą swojego miasta”. To piękny wiersz. W króciutkich wersach tyle w nim uniesienia, tyle własności. Żałować należy, że tacy poeci nie dożywają swoich dni we Lwowie. Choć mamy przykłady, że z odległości tęsknota za ... Litwą była największa i jakżeś literacko owocna. Tak jest i teraz pomniki Miastu wznosimy my — wygnańcy. Sabat poetów na placu św. Antoniego trwa nadal. Zatrzymuje się tramwaj, wysiada Tolu Szolginia — poeta Lwowa i Łyczakowa, znakomity, może już nawet ostatni z tych, co tak o Lwowie bałakiem wodzi. Gdzieś z dołu, od Reja nadciąga spacerkiem Adaśku Hollanek, który choć w wieku dojrzałym, literacki fantasta, za młodu mową związaną się parał, jak na imiennika Wieszcza przystało. Jest tu także Mieczysław Opałek ze Zbierzchowskim, senior lwowskiej literatury w moich czasach. Jemu też niedaleko, bo mieszka na Łyczakowskiej 39c.

Ciułacz leopolitański znakomity poeta korzeniami w rodzinnym Mieście tkwiący, jak rzadko kto. Długo na placu nie pobędzie, bo się do Rewakowiczówki spieszy na tamtejsze literacko-artystyczne posady. Spływa z Kurkowej wdzięczna poetessa, której imienia nie pomnę, ale jest tu i mamy już parę dam-ska z Klio.

Gdzieś tam z boku, bliżej cienia Słodowej, przystanęłam i ja, i wtrącam nieśmiało swoje wierszowane trzy grosze, bom odkrywając zgromadzenia poetów wokół placu. Ja ich dziś tu zaprosiłam; przywołuję tym tekstem. I zastanawiam się co sprawiło, że w geografii okolicznej placu wpisało się tylu poetów tak różnych, ale dla których jego zwornik jest dziś czymś oczywistym. Jest nim naturalnie także cały Lwów, ale oni w tym sabacie bytu — niebytu krążą uporczywie jak ćmy wokół maleńkiej przestrzeni łyczkowskiego prosce-nium. Dziś są tu sami, ale na codzień wpisani serdecznie w teatr wrzawy przekupek, krupiarów, straganów, bałakowego zaśpiewu, kolorów Łyczkowa, ale i w ciszę pod kasztanami świątyni i w tramwajowy szum i dzwonki na tutejszych obu przystankach. Na przystankach moich oczekiwani i odjazdów po tyle na zawsze niespełnień.

Jerzy Masiór



fol. Jerzy Masiór, 1988 r.

Ulica Łyczakowska, w głębi plac św. Antoniego i kościół parafilany

Działalność Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie w czasie II Wojny Światowej od września 1939 do sierpnia 1944 roku

TOMASZ CIESZYŃSKI

Okres sowiecki

W okresie pierwszej okupacji sowieckiej od 22 września 1939 do 27 czerwca 1941 roku zlikwidowane zostały we Lwowie wszystkie polskie instytucje, a mianowicie administracyjne, społeczne, gospodarcze jak również wychowawcze i naukowe z Uniwersytetem Jana Kazimierza na czele. Ludność miasta została wywłaszczona ze stanu posiadania w trybie tzw. nacjonalizacji. Wykorzystując przemoc okupacyjną Rada Najwyższa Związku Sowieckiego, na podstawie sfałszowanych wyników głosowania, w listopadzie 1939 r., inkorporowała miasto Lwów do Sowieckiej Republiki Ukrainiejskiej. Środkami propagandy prasowej i radiowej oraz transparentami w języku ukraińskim usiłowano stworzyć pozory ukraińskości miasta.

Jak wiadomo, przed wybuchem II wojny światowej było we Lwowie około 8% Ukraińców i około 3% Rusinów. Okupacja sowiecka spowodowała masową imigrację ludności rosyjskiej i azjatyckiej, głównie rodzin wojskowych i służb NKWD mówiących po rosyjsku. Napływ Ukraińców był stosunkowo niewielki. Dlatego po zajęciu Lwowa przez Związek Sowiecki procent ludności ukraińskiej pozostawał w dawnych granicach, miasto jednakże zmieniło zasadniczo swój zewnętrzny i etniczny charakter. Stanowiska kierowników i sprzedawców w upaństwowionych sklepach powierzono napływowej ludności sowieckiej mówiącej po rosyjsku, podobnie w bankach, na kolei i na poczcie, a w komendach milicji osadzano komandirów rosyjskich. Ludność polska nie znająca w ogóle rosyjskiego mówiła oczywiście po polsku, wskutek czego Lwów rozbrzmiewał na codzień dwoma językami — polskim i rosyjskim pod ukraińskim napisem „Lwów”.

Uniwersytet Jana Kazimierza, zgodnie z formalną ukraiinizacją został przemianowany na Uniwersytet im. Iwana Franki. Zlikwidowano Wydział Teologiczny, a Wydział Lekarski i Farmaceutyczny wydzielono administracyjnie i utworzono z nich Państwowy Instytut Medyczny podległy Komisariatowi Zdrowochronienia. Do istniejących katedr i zakładów obu wydziałów dodano sowieckie specyfium: Katedrę Marksizmu-Leninizmu.

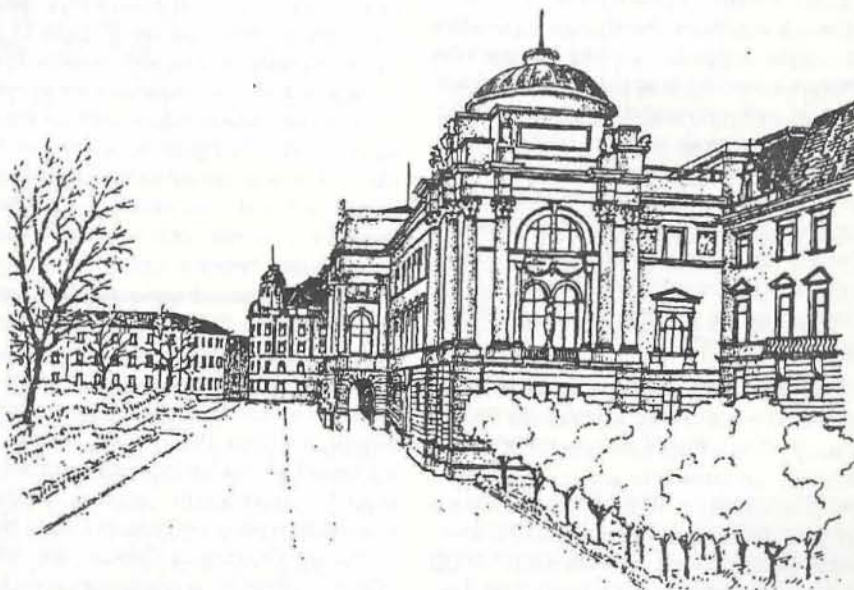
Na Katedrę Farmakologii, wakującą z powodu nieobecności prof. Włodzimierza Koskowskiego (który jako przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wyjechał legalnie ze Lwowa do Szwajcarii w jesieni roku 1939 i na koniec znalazł się w Szkocji gdzie wykładał na Polskim Wydziale Lekarskim w Edynburgu) dyrektor Instytutu Medycznego, doktor nauk medycznych Makarczenko powołał z Moskwy dobrego dydaktyka, prof. Władimira (?) Woltera. Prof. Wolter, z pochodzenia Żyd rosyjski, wykładał po rosyjsku. Wszystkie inne wykłady w zakresie medycyny, w zakładach teoretycznych i klinikach, prowadzone przez polskich profesorów były wygłaszane po polsku. Jedynie wspomniany uprzednio marksizm-leninizm głosił po ukraińsku sprowadzony z Kijowa doc. Zaskilniak.

Problem mianowania dziekana dyrektor Makarczenko rozwiązał par excellence po rosyjsku. Zaprosił do siebie „na kwartir” najmłodszego profesora Wydziału Lekarskiego Bolesława Jałowego „na wino i frukty”, którymi okazały się litr wódki i słój kiszonych ogórków. Po degustacji tych spe-

cjałów służących do poznania osobowości zaproszonego, profesor Bolesław Jałowy został powołany na stanowisko dziekana, które piastował z wielkim poczuciem odpowiedzialności w niezwykle trudnych warunkach okupacji.

Wydział Lekarski we Lwowie był zatem czynny i to prawie w komplecie. Tylko jeden profesor, a mianowicie prof. dr Roman Rencki, internista, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych, został aresztowany zaraz po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa i przebywał w więzieniu aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Uszedł wprawdzie z życiem przed rzezią więźniów przeprowadzoną przez NKWD, ale niestety w kilka dni później został zamordowany przez Niemców w dniu 4 lipca 1941 roku.

W uruchomionym w listopadzie 1939 roku Instytucie Medycznym kształciło się bardzo wielu studentów Polaków, Rosjan i Żydów. Ukraińców było niewielu. O ile działalność dydaktyczna na obu wydziałach prowadzona była na poziomie przedwojennym, o tyle sprawa rozwoju naukowego asysten-



Rys. Zbigniew Haich
Gmach Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie w roku 1939

tów została istotnie przyhamowana. Wpływały na to zarówno specyficznie sowieckie warunki awansu naukowego w trybie tzw. kandydatury nauk wyglądającej mało atrakcyjnie zwłaszcza wobec ogólnego przekonania o tymczasowości okupacji sowieckiej jak i ogromne trudności życia codziennego: terror ciągłych najść na mieszkania, które najeźdźcy starali się zająć na siłę, bieda, a przede wszystkim nieustająca groźba nocnych aresztowań i masowych wywozów na Wschód do azjatyckich obszarów Związku Radzieckiego. Tymi bowiem sposobami władze sowieckie pozbywały się ludności polskiej ze Lwowa i uzyskiwały mieszkania dla sprowadzonych rodzin rosyjskich.

A mimo to życie toczyło się dalej. Choć nie było to łatwe, najwytrwalsi asystenci prowadzili rozpoczęte prace naukowe. Funkcjonował pozornie wolny Polski Teatr Dramatyczny. Wydawana po polsku gazeta codzienna pod nazwą Czerwony Sztandar systematycznie opluwała polskość w artykułach literatów (nazwiska tych osób, nie wszystkich wprawdzie, podaje Kazimierz Żygulski w książce „Jestem z lwowskiego etapu”, Wydawnictwo PAX, Warszawa 1994r.), którzy zabłąsnęli potem jako koryfeusz literatury PRL.

Nagle rozpętała wojna między dwoma wrogami Polski: III Rzeszą Niemiecką z Związkiem Sowieckim w czerwcu 1941 roku zakończyła pierwszy okres rządów sowieckich we Lwowie.

Okres niemiecki

Niemcy weszli do Lwowa w nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1941 roku, w trzy dni po ucieczce Rosjan. Ludność miasta pozostawała jeszcze pod wrażeniem potwornej zbrodni dokonanej przez NKWD na kilku tysiącach więźniów. Kiedy około południa wkroczyła brygada tyrolskich strzelców górskich z szarotkami na polowych czapkach, niewiele osób przyglądało się im na ul. Pełczyńskiej. Śpiewali wesoło „Heili! Heili!”. Patrzyłem na nich w ponurym nastroju. Mimochodem zauważyłem, że mieszkające w naszym domu na parterze panny Sassowierówny z entuzjazmem obrzucają jasnowłosych tyrolczyków kwiatami. Ze zgrozą przypominały mi się słowa Hitlera; „Der Sieger hat immer recht!”.

Drugiego lipca Niemcy aresztowali na Politechnice profesora Kazimierza Bartla. W nocy z 3 na 4 lipca formacje SS i Gestapo dokonały aresztowania grupy 22 profesorów (dwudziestym trzecim aresztowanym był prof. Franciszek Groer, pediatra, który został zwolniony po przesłuchaniu dzięki czemu uniknął śmierci) Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej i Akademii Weterynaryjnej, niektórych z żonami i synami oraz innymi bliskimi osobami — i o brzas-

ku dnia 4 lipca rozstrzelali ich na Wzgórzach Wuleckich. Wśród nich było 12 profesorów Wydziału Lekarskiego. Byli to: Antoni Cieszyński (stomatolog), Władysław Dobrzaniecki (chirurg), Jan Grek (internista) wraz z żoną, Jerzy Grzędziński (okulista), Henryk Hilarowicz (chirurg), Stanisław Mączewski (ginekolog), Witold Nowicki (anatomopatolog) wraz z synem, Tadeusz Ostrowski (chirurg) wraz z żoną, Stanisław Progulski (pediatra) wraz z synem, Roman Rencki (internista), Włodzimierz Sieradzki (medyk sądowy), Adam Sołowij (ginekolog) wraz z wnukiem.

Tę straszną masakrę, mającą na celu realizację niemieckiego planu odmłodzenia narodu polskiego, Niemcy zataili wobec świata. Byli jednakże naocznymi świadkami i jeden z nich, asystent prof. Rudolfa Weigla — Zbigniew Stuchły w kilka godzin po dokonanej egzekucji złożył mu z tego faktu relację. Ja sam poznałem tragiczną prawdę o tym zdarzeniu dopiero w sierpniu 1944 roku tj. po wyparciu Niemców ze Lwowa przez wojska sowieckie. Być może, osoby znające wśród Polaków prawdę, uznały, że wiadomość o okrutnym masowym morderstwie będzie zbyt trudna do zniesienia dla zrozpaczonych żon i matek. Przede wszystkim jednak zaważył moment ostrożności. W razie przypadkowego ujawnienia nazwiska któregośkolwiek z naocznych świadków było pewne, że zostanie on zamordowany przez Gestapo.

W obliczu przedstawionych zjawisk, na przykład praktycznego zablokowania osobistego rozwoju młodych pracowników naukowych, które przyniosła okupacja sowiecka, a następnie wobec świadomości gwałtownej, fizycznej eksterminacji profesorów wyższych uczelni, stało się jasne, że pozostali przy życiu profesorowie medycyny powinni, *horribile dictu*: póki jeszcze żyją, umożliwić awans naukowy zasługującym na to asystentom. Niezależnie od tego należało kontynuować kształcenie studentów medycyny.

To drugie zadanie miało ogromne znaczenie nie tylko dla Polaków, ale również dla ukraińskiej inteligencji zainteresowanej żywnie w kształceniu młodych Ukraińców. Ponieważ problem ochrony zdrowia ludności podbitej, Niemcy uznali za ważny ze względu na własne bezpieczeństwo, gubernator generalny dr Hans Frank, na wniosek Ukraińca dra Mariana Pańczyszyna mianowanego uprzednio przez władze sowieckie profesorem Lwowskiego Medycznego Instytutu, a 4 lipca 1941 roku tj. w dniu rozstrzelania Lwowskich Profesorów mianowanego komisarzem zarządcą Wydziału Lekarskiego przez prezydenta Działu Nauki i Oświaty Generalnej Guberni dra Adolfa Watze — zezwolił na uruchomienie we Lwowie Państwowych Zawodowych Kursów Medyczno-Przyrodniczych (Staatliche Medizinisch-Naturwissenschaftliche Fachkurse),

na które w terminie wiosennym 1942 roku przyjęto na rok pierwszy około 14% Polaków i około 85% Ukraińców. Na latach wyższych, Polacy stanowili kolejno około 31, 36 i 63% ogółu studentów.

Znamienna jest motywacja dra Pańczyszyna w piśmie skierowanym do gubernatora dra Hansa Franka:

„Das Wissenschafts- und Lehrwissenschaftspersonalstellen, auch nach Entfernung der jüdischen und anderen der deutschen Regierung und dem deutschen Volke feindlich gesinnten Elemente, und nach seiner Ergänzung durch ukrainische wissenschaftliche Kräfte, einen Apparat dar, welcher im Stande wäre jederzeit verantwortliche wissenschaftliche Arbeit und Lehrtätigkeit vorzunehmen und dieselbe in vollem Einklang mit den hohen Traditionen der deutschen Wissenschaft und Kultur weiterzuführen”, co znaczy w tłumaczeniu polskim:

„Personal naukowy i dydaktyczny, także po usunięciu wrogo nastawionych do niemieckiego rządu i do niemieckiego narodu elementów żydowskich i innych (tj. polskich) i po uzupełnieniu go przez ukraińskie siły naukowe, przedstawia aparat, który byłby w stanie w każdej chwili podjąć odpowiedzialną pracę naukową i dydaktyczną i prowadzić tę działalność nadal w pełnej harmonii z wysokimi tradycjami niemieckiej nauki i kultury”.

Argumentacja dr. Pańczyszyna pochwalająca zbrodnię ludobójstwa przypomina informację o pomocniczej roli Ukraińców w zamordowaniu Lwowskich Profesorów, którą ujawnił pani docent Karolinie Lanckorońskiej Hauptsturmführer SS Hans Krüger w czasie jej przesłuchania w więzieniu w Stanisławowie.

Przyjęcie na studia zależało faktycznie od dwóch Ukraińców mianowanych komisarzami Wydziału Lekarskiego cieszących się zaufaniem władz niemieckich. Byli to: wspomniany dr Marian Pańczyszyn — internista oraz dr Andrzej Łastowiecki — były asystent Zakładu Fizyki UJK mianowany uprzednio przez władze sowieckie profesorem fizyki Medycznego Instytutu we Lwowie. Jak podaje prof. Albert, ogółem nie przyjęto 29 Polaków, w tym trzech na polecenie Gestapo, a 26 rzekomo z braku miejsc. Ja osobiście nie zostałem przyjęty, podanie moje załatwiono negatywnie („abgelehnt”) bez podania uzasadnienia.

Dr Łastowiecki został zamordowany w sierpniu 1943 roku w bramie domu przy ul. Wronowskich. W domu tym mieszkała Ukrainka Gałanowa, którą odwiedzał Łastowiecki — kobieta niezwykłej urody, żona rzeźnika Gałana, będąca sprzedawczynią w sklepie mięsny („Nur für Deutsche”) swego męża przy ul. Leona Sapiehy. O fackie zabójstwa dowiedzieliśmy się z matką moją rano od dozorczy naszego domu, Ukraińca

Teodora Wilkowa, który przybiegł podekscytowany z miejsca zbrodni, na którym oglądał zwłoki dra Łastowieckiego z tkwiącym w klatce piersiowej nożem.

Nie umiem zrozumieć prof. Alberta, który pisze: „natychmiast po śmierci prof. Łastowieckiego” „...zastrzelonego przez Polaków” „...rozmawiałem z ludźmi, którzy znali jego zabójców”. Skąd prof. Albert wiedział, że morderstwa dokonali Polacy? oraz, że ludzie do których się zwracał „znali...zabójców”?

Przed wszystkim jednak wiadomo, że po śmierci dra Łastowieckiego nie została przeprowadzona sekcja sądowo-lekarska, na podstawie której, stwierdzenie przez Polaka, kierownika Zakładu Medycyny Sądowej doc. dra Bolesława Popielskiego, że denat został zabity pociskiem z broni palnej mogłoby się stać oficjalnym dokumentem propagandy ukraińskiej „motywującym” zbrodnie ukraińskie na ludność polską. Sekcja musiałaby wykazać prawdę miarodajną tak dla Polaków, jak i dla Ukraińców, ponieważ asystentem Zakładu Medycyny Sądowej był Ukrainiec lek. Bohdan Mryc, a przy sekcji asystowało by na pewno kilku lekarzy ukraiń-

masowym morderstwie w dniu 4 lipca 1941 roku. Z tego powodu pozostali przy życiu profesorowie, członkowie Rady Wydziału Lekarskiego mieszkający we Lwowie, uznali, że zachodzi bezwzględna konieczność tajnego działania według polskiego prawa o szkołach akademickich.

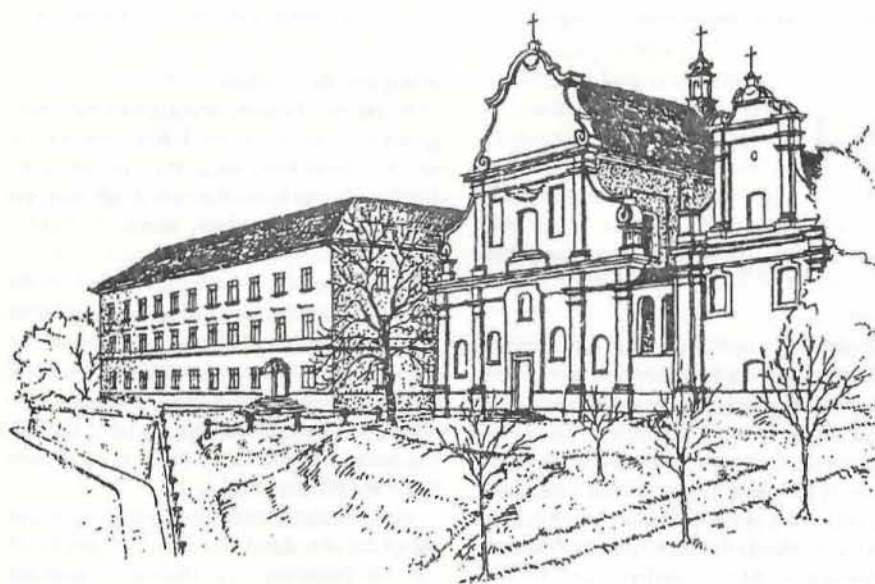
Na tym miejscu uważam za potrzebne wymienić ich nazwiska w porządku alfabetycznym: prof. dr Eugeniusz Artwiński — kierownik Kliniki Neurologicznej, prof. dr Kazimierz Bocheński — kierownik Kliniki Położniczo-Ginekologicznej, prof. dr Franciszek Groer — kierownik kliniki Pediatrii, prof. dr Marian Franke — kierownik Zakładu Patologii ogólnej, prof. dr Bolesław Jałowy — kierownik Zakładu Histologii, prof. dr Józef Markowski — kierownik Zakładu Anatomii Prawidłowej, prof. dr Jan Lenartowicz — kierownik Kliniki Dermatologii i Chorób Wenerycznych, prof. dr Zdzisław Steusing — kierownik Zakładu Higieny, prof. dr Rudolf Weigl — kierownik Zakładu Biologii Ogólnej, prof. dr Mieczysław Wieruchowski — kierownik Zakładu Fizjologii, prof. dr Teofil Zalewski — kierownik Kliniki Oto-Laryngologicznej.

Rady Wydziału Lekarskiego, gdyż aresztowany 11 listopada 1942 roku wraz z innymi profesorami (których po kilku dniach Niemcy zwolnili) przebywał w więzieniu około pół roku pod nieprawdziwym rasistowskim „zarzutem”, że jest Żydem. W czasie, kiedy prof. Wieruchowski był uwięziony, na jego miejsce w Zakładzie Fizjologii na Państwowych Kursach Medyczno-Przyrodniczych został mianowany Rosjanin z Piatigorska, niejaki prof. Popow, w pełni świadomy niemoralności sytuacji, w której obejmuje to stanowisko. Tym bardziej rola prof. Popowa w dramacie prof. Wieruchowskiego jest podejrzana.

Ponadto, przebywali wówczas we Lwowie należą do Wydziału Lekarskiego, nie będący członkami Rady Wydziału Lekarskiego następujący profesorowie tytularni i docenci: doc. dr Tadeusz Baranowski — biochemik, doc. dr Tadeusz Chorążak — dermatolog, doc. dr Artur Chwalibogowski — pediatra, doc. dr Wincenty Czernecki — internista, prof. dr Adam Gruca — chirurg ortopeda, doc. dr Leopold Jaburek — neurolog, doc. dr Wiktor Jankowski — otolaryngolog, prof. dr Stanisław Laskownicki — chirurg urolog, doc. dr Witold Lipiński — internista, epidemiolog, doc. dr Józef Lenczowski — położnik ginekolog, prof. dr Tadeusz Marciniak — anatom, doc. dr Bolesław Popielski — medyk sądowy, doc. dr Antoni Sabatowski — internista, doc. dr Helena Schuster — anatomo patolog, prof. dr Witold Ziembicki — historyk medycyny.

W związku z decyzją przeprowadzenia zgodnym z polskim prawem akademickim tajnych przewodów habilitacyjnych, wyłonił się praktyczny problem obrania quasi — bezpiecznego miejsca do odbywania posiedzeń Rady Wydziału Lekarskiego. Opatrznościową osobą, która była w stanie udostępnić takie miejsce okazała się osoba prof. Rudolfa Weigla, a postulowanym miejscem — jego Zakład Biologii Ogólnej przy ul. św. Mikołaja, albowiem w związku z produkcją szczepionki przeciw tyfusowi płamistemu przez bramę budynku wchodziło i wychodziło codziennie mnóstwo pracujących w nim osób, co w istotny sposób ułatwiała sprawę, zwłaszcza, że niektórzy profesorowie byli zatrudnieni jako karmiciele wszy. Rudolf Weigl, który w swoim odważnym sercu zawsze nosił gotowość udzielenia pomocy innym, wziął na siebie ciężar tej działalności. Dziekanem i prodziekanem byli: prof. dr Teofil Zalewski i prof. dr Bolesław Jałowy.

Habilitacje odbywały się w sposób wysoce utajniony. Habilitanci nie mieli pojęcia gdzie zbiera się Rada Wydziału Lekarskiego. Kandydaturę każdego z nich przedstawił profesor odnośnej albo najbardziej zbliżonej dziedziny, a pisemne opinie dawali bez wpisywania daty trzech wyznaczonych członków Rady Wydziału albo profesorowie tytularni



Rys. inż. Zbigniew Haich

Wejście do Zakładu Biologii Ogólnej UJK we Lwowie między kościołem św. Mikołaja a gmachem starego Uniwersytetu w roku 1939

skich. Ukraińcy nie dopuścili jednak do ujawnienia kryminalnej prawdy rzucającej skandalizujące światło na osobę dra Łastowieckiego, ale też nie rozpowszechniali fałszywej wersji podanej przez prof. Alberta.

Wracając do problemu rozwoju naukowego asystentów, należy powiedzieć, że sprawa nadania wyższego stopnia naukowego zasługującym na to młodym pracownikom nauki pozostawała palącą na skutek faktu katastrofalnego zmniejszenia się składu osobowego Wydziału Lekarskiego po

Prof. Jałowy został zamordowany strzałem z pistoletu w dniu 1 października 1943 roku na ul. Teatyńskiej przez syna dra Mariana Pańczyszyna, którego rozpoznał towarzyszący Jałowemu student medycyny Jan Chmiel. Przerażony i wstrząśnięty czynem swego syna dr Pańczyszyn ukrył się w pałacu metropolity Szeptyckiego, gdzie zmarł na zawał serca w 9 dni po zamordowaniu prof. Jałowego.

Prof. Wieruchowski najprawdopodobniej niedługo uczestniczył w tajnej działalności

i docenci należący do rozszerzonego Wydziału, ale nie do Rady. Po uzyskaniu dodatkowych ocen wydanych przez trzech referentów, Rada Wydziału podejmowała pozytywną decyzję, którą następnie profesor — patron przekazywał kandydatowi do wiadomości najczęściej u siebie w domu.

Należy podnieść, że w zakresie anatomii patologicznej i patologii ogólnej, współopiniowała doc. dr Helena Schuster (szwagierka zamordowanego wraz z synem Jerzym profesora Witolda Nowickiego — kierownika Zakładu Anatomii Patologicznej). Niemka z urodzenia, z przebiegu życia Polka, która w okresie okupacji niemieckiej podpisała Volkslistę. A jednak doc. Schuster zasłużyła na dodatnią ocenę: nie tylko czynnie współdziałała w zakresie funkcji uniwersyteckich, ale także okazywała wraz ze swą siostrą, panią profesorową Olgą Nowicką pomoc osobom poszukiwanym przez Gestapo. Należy zwrócić uwagę na okoliczność, że pani profesorowa Olga Nowicka z domu Schuster, tak bardzo czuła się Polką, że w momencie aresztowania przez Gestapo jej męża prof. Witolda Nowickiego i jej syna dra Jerzego Nowickiego, nie przyszło jej na myśl powiedzieć, że jest Niemką, co mogło uratować życie mężowi i synowi.

A oto lista habilitantów, którzy uzyskali veniam legendi dzięki tajnej działalności Rady Wydziału Lekarskiego UJK — zestawiona przez prof. Kazimierza Jabłońskiego:

1. Zygmunt Albert — anatomo-patolog,
2. Tadeusz Ceypek — laryngolog,
3. Bronisław Giedosz — patolog,
4. Kazimierz Jabłoński — położnik-ginekolog,
5. Tadeusz Jacyna Onyszkiewicz — chirurg,
6. Jan Jankowski — internista,
7. Tadeusz Korzybski — biochemik,
8. Włodzimierz Kuryłowicz — mikrobiolog,
9. Stanisław Liebhard — ginekolog-położnik,
10. Franciszek Redlich — pediatra.

Wypada mi na koniec wspomnieć o sobie, Tomasz Cieszyńskim, studencie medycyny, co nie został przyjęty na Staatliche Medizinisch-Naturwissenschaftliche Fachkurse, ale dzięki pomocy prof. dra Jana Lenartowicza uzyskał aprobatę Rady Wydziału Lekarskiego na kontynuację studiów sposobem tajnym.

Dzisiaj pragnę na znak wdzięczności wymienić imiona i nazwiska moich egzaminatorów, przytaczając stopnie i tytuły naukowe, jakie podówczas posiadali. Byli to w porządku alfabetycznym: prof. dr Kazi-

mierz Bocheński, doc. dr Wincenty Czernecki, doc. dr Adrian Demianowski, prof. dr Franciszek Groer, prof. dr Adam Gruca, doc. dr Wiktor Jankowski, prof. dr Jan Lenartowicz, dr Albin Musiał — starszy asystent Kliniki Okulistycznej oraz doc. dr Bolesław Popielski.

Przekonałem się potem, że nad wszystkim czuwał prof. Rudolf Weigl. Z osobistej relacji prof. K. Jabłońskiego jest mi wiadome, że po zakończeniu II wojny światowej Ministerstwo Oświaty PRL zatwierdziło habilitację przeprowadzone w tajnym postępowaniu na Radach Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie, przyjmując ze względów politycznych uległości wobec imperializmu sowieckiego, wsteczną datę dla wszystkich habilitacji na dzień 19 października 1939 roku, którą zmuszeni byli wpisać na żądanym dokumencie rektor tajnego Uniwersytetu Jana Kazimierza prof. dr Edmund Bulanda i dziekan prof. dr Teofil Zalewski. Data ta bowiem poprzedzała datę sfałszowanego głosowania o przyłączenie Lwowa do Związku Sowieckiego, które miało miejsce 1 listopada 1939 roku.

Prof. dr hab. Tomasz Cieszyński

Krystynopol

ADAM WARTALSKI

Najmłodsze dziecko na ziemi bełskiej, zostało założone przez Feliksa Kazimierza Potockiego na gruntach wsi Nowy Dwór. Położony u ujścia rzeki Sołokiji do Bugu na wysokości 298 m n.p.m., nazwę swoją zawdzięcza imieniu Krystyny z Kubomirskich, żony hetmana polnego koronnego Feliksa (Szczęsnego) Kazimierza Potockiego. Miasteczko oddalone jest od Sokala o 15 km w kierunku południowym i 71 km w kierunku północnym od Lwowa. Obok nazwy Krystynopol, miejscowość ta występowała jako Chrystynopol, Krystianopol, a w języku ruskim Krystynopil.

Założyciel Krystynopola wywodził się z gałęzi hetmańskiej, czyli srebrnej Pilawy — herbu Potockich. Druga gałąź — zwana prymasowską, lub złotą Pilawą — była linią boczną. Rozwój miasta i jego historia są ściśle związane z rodem Potockich, z potomkami założyciela Krystynopola. Nigdy bowiem Krystynopol nie korzystał z przywilejów królewskich, ponieważ był miastem prywatnym i wszelkie ewentualne przywileje uzyskiwał od swego właściciela. W trzy lata po założeniu Krystynopola, to jest w 1965 r. F. K. Potocki założył fundację budo-

wy kościoła i klasztoru i tę nową placówkę mieli objąć Ojcowie Bernardyni za zgodą biskupa chełmskiego Stanisława Święcickiego. W dokumencie fundacyjnym fundator zobowiązał się do zapewnienia utrzymania dla dwunastu zakonników, oraz przyznał przyszłemu klasztorowi łąkę, pastwisko, prawo połowu ryb w Bugu, oraz prawo korzystania z młynów i lasów Potockich.

Pierwotny kościół był drewniany i wybudowano go w 1695 r. Jedynie krypty podziemne, przeznaczone w pierwszym rzędzie na grobowce dla rodziny Potockich, były murowane. Prócz członków rodziny chowano tu później także przedstawicieli znanych rodzin, włącznie niektórych dworzan Potockich. Natomiast budowę murowanego kościoła, który dochował się do 1951 r., rozpoczęto w 1701 r., a zakończono w 1726 roku.

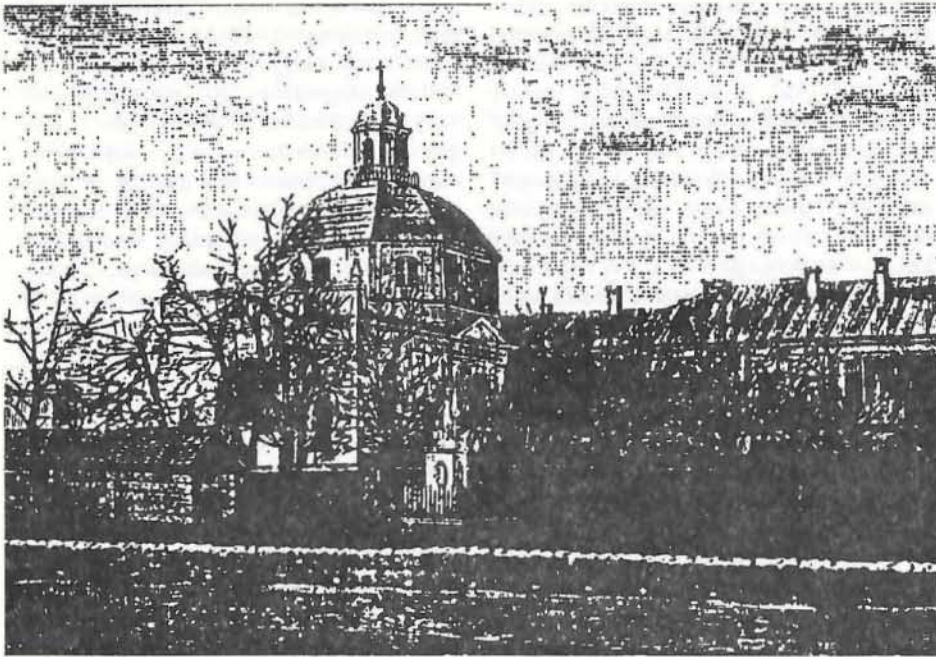
Jeśli idzie o klasztor, to do roku 1747 r. zakonnicy zamieszkiwali w klasztorze drewnianym. Dopiero w tymże roku rozpoczęto budowę klasztoru murowanego wg projektu Franciszka Czajki, ukończoną ostatecznie w 1766 r. Tu w klasztorze odbyła się w 1766 r. kapituła zakonu Bernardy-

nów prowincji ruskiej.

Staraniem Feliksa Kazimierza Potockiego wybudowano zamek w Krystynopolu — siedzibę rodu Potockich. Po jego śmierci w 1702 r. miasto odziedziczył drugi jego syn Józef, strażnik koronny, senator i starosta bełski i ropczycki.

Nowy spadkobierca kontynuował budowę kościoła murowanego, ale nie doczekał się jego zakończenia. Umarł bowiem w młodym wieku w 1723 r. i jak jego ojciec został pochowany w podziemiach kościoła Krystynopolskiego. Dalsze prace przy kościele finansował syn Józefa, Franciszek Salezy Potocki (1702-1772).

Franciszek Salezy Potocki był najzamożniejszym w rodzinie. Jego dobra dziedziczne obejmowały południowo-wschodnią część kraju i składały się z 70 miast oraz kilkuset wsi, a liczba jego poddanych wynosiła czterysta tysięcy dusz. Był „panem” na Krystynopolu, Kiłajgrodzie, Tatarkowie, Dukli, Wielkich Oczach, Tulczyni, Bracławiu, Chorostkowie, Mohylowie, Kosowie, Braniłowie, Stojanowie i Wyżygródzku z przyległościami do każdej miejscowości. Z uwagi na olbrzymie dobra oraz piastowanie licznych stanowisk: krajczego, wołyńskiego, wojewody kijowskiego, starosty bełskiego, sokalskiego, kołomyjskiego, janowskiego, bareckiego, hrubieszowskiego, hadyńskiego, ropczyckiego i żwinogrodzkiego nazywano Franciszka Salezego Potockiego „małym królem” na Ruś, a Krystynopol — jego stolicą. Jego staraniem zakończono w 1726 r. budowę kościoła



Cerkiew i monaster OO. Bazylianów w Krystynopolu

krystynopolskiego pod wezwaniem św. Du-cha, do którego złożono w kaplicy kościelnej ciało męczennika św. Klemensa przywiezione z Rzymu w 1733 r.

Kościół był barokowy, jednonawowy na planie łacińskiego krzyża, zwieńczony sygnaturką. Dzięki funduszom Franciszka Salezego Potockiego wyposażono kościół w nowe organy (1755 r.), a w latach 1756-58 przyozdobiono wnętrze polichromią, wykonaną przez malarza Stanisława Stroińskiego. W kościele znajdował się otoczony wielką czcią ludności okolicznej i miasta obraz Biczowania Pana Jezusa, przeniesiony z Sośnicy w 1758 r., a w 1765 r. ozdobiony złotą koroną i srebrną sukienką. Klasztor i kościół OO Bernardynów odgrywał znaczną rolę w życiu mieszkańców Krystynopola, ponieważ była to jedyna świątynia w obrządku łacińskim w mieście. Drugą świątynią była cerkiew greko-katolicka Bazylianów. Ciężkie lata przyszyły na klasztor dopiero po śmierci Franciszka Salezego, jak też po włączeniu Małopolski pod panowanie austriackie w 1772 r.

Syn jego Szczęsny Stanisław w 1781 r. przeniósł rezydencję Potockich z Krystynopola do Tulczyna, a nowi właściciele Krystynopola nie poczuli się do wspomnienia kościoła i klasztoru Bernardynów. Co gorsze w sprawy klasztorne ingerowały władze austriackie, które przede wszystkim ograniczyły dochody kościoła i klasztoru.

Po pierwszym rozbiórze Polski liczba zakonników w klasztorze zmniejszyła się w wyniku licznej emigracji zakonników z Galicji na wolne jeszcze tereny Polski. Od roku 1797 kościół bernardyński w Krystynopolu stał się kościołem parafialnym, ponieważ

parafia w Ostrowie, której dotychczas podlegał kościół krystynopolski, uległa podziałowi.

W 1802 r. klasztorowi groziła kasata, albowiem dekret cesarski wydany 29 kwietnia tegoż roku przewidywał likwidację klasztorów o małej liczbie zakonników. Dzięki jednak obronie konsystorza lwowskiego u władz austriackich, klasztor nie uległ kasacie. Najpilniejsze prace remontowe przy kościele i klasztorze zostały zrealizowane w latach 1840-43, dzięki staraniom gwardiana klasztorowego krystynopolskiego Antoniego Mikusza. Remont kapitalny natomiast przeprowadzono dzięki zabiegom gwardiana Anzelma Piłńskiego w latach 1848-45. Wtedy kościół i klasztor otrzymał nowy dach, odnowiono elewacje i wnętrza, wybudowano nowe budynki gospodarcze i zainstalowano nowe organy. W 1854 r. polichromia Stroińskiego została odnowiona przez artystę Stanisława Radeckiego. Z końcem XIX wieku kościół otrzymał nowe ołtarze, a kryptę grobową Potockich własnym kosztem odnowił w 1890 r. Adamowa Potocka z Krzeszowic.

Z lat pierwszej wojny światowej kościół i klasztor wyszły obronną ręką. W 1915 r. Rosjanie zarekwirowali cztery dzwony, które jednak zwrócono w 1923 r.

Zaczaszów Drugiej Rzeczypospolitej w krystynopolskim klasztorze mieszkało przeciętnie czterech-pięciu zakonników. Prowadzili oni parafię i katechizę w miejscowej szkole, prócz tego obsługiwali kościół filialny w Boratynie — wybudowany staraniem Bernardynów w 1908 r. oraz kaplicę we wsi Parchacz. Niewykorzystana przez zakonników część klasztoru została udostępniona szkole powszechnej.

Kościół i klasztor w dobrym stanie zachowały się do 1944 r. Wskutek napadów U.P.A. znaczna część ludności polskiej opuściła Krystynopol. W klasztorze pozostał tylko jeden zakonnik Ojciec Jerzy Bielecki, wikariusz klasztoru i parafii. Mimo ciężkich warunków i zagrożeń od band ukraińskich przetrwał do 1951 r. Przez pewien czas był jedynym duchownym rzymsko-katolickim na terenie kilku tamtejszych parafii. Opuścił klasztor i kościół w 1951 r. w wyniku korekty granicy w rejonie Krystynopola i Sokala między Polską a ZSRR, wywożąc z sobą wyposażenie kościoła i archiwum kościelne. Opuszczony klasztor został zamieniony na mieszkania, a kościół popadł w ruinę.

Wybudowany przez Feliksa Kazimierza Potockiego zamek obronny przy założeniu Krystynopola, za czasów jego wnuka Franciszka Salezego został gruntownie w 1736 r. przebudowany, a właściwie nowo wybudowany. Tylko nazwa wskazywała, że kiedyś był tu obronny zamek — nowa budowla była właściwie wielkim pałacem otoczonym wspaniałym parkiem. Była to magnacka rezydencja urządzona na wzór domu panującego. Służba wojewody kijowskiego Franciszka Salezego Potockiego była liczna. Posiadał ponad 30 dworzan — wszyscy pochodzenia szlacheckiego, którzy pełnili funkcje: koniuszego, podczaszego, łowczego, szatnego itp. Marszałkiem dworu był książę Włodzimierz Czetwertyński, starosta utajkowski a dowódcą gwardii przybocznej dworskiej i zarazem sekretarzem był hrabia Karol Sierakowski — starosta zanidecki. Równie liczny dwór posiadała jego druga żona Anna Elżbieta, dziedziczka wielkich dóbr, które wniosła mu w wianie.

Pierwszą żoną Franciszka Salezego była Zofia Rzeczycka. Obok liczego dworu i przybocznej gwardii Potocki utrzymywał własnym kosztem różnego rodzaju oddziały wojskowe. Tak np. posiadał kilkadziesiąt dział spiżowych, które zgrupowane były w pobliżu Krystynopola we wsi Moździany od słowa moździerz.

Przepych i okazałość życia dworu krystynopolskiego Potockich była wielka. Sam wojewoda uznawał strój polski i tylko taki był noszony na dworze. Wyjątek stanowili najwyżej cudzoziemcy. Wszelkie uroczystości rodzinne obchodzone były z wielką pompą. I tak koszt wesela jego córki Marii z Aleksandrem Brühlem w 1769 r. kosztował go niebagatelną sumę ponad 250 tys. zł. Na ślub i wesele zostali zaproszeni wszyscy postowie dworów zagranicznych akredytowanych w Polsce. Licząca pół kilometra droga z pałacu do kościoła Bernardynów była wyścielona drogim czerwonym sukniem. Tą samą drogę wyłożono również czerwonym sukniem z okazji ślubu córki Antoniny z Ksawerym księciem Lubomirskim w dniu 8 stycznia 1771 r.

Pałac zlokalizowano u zbiegu dwu rzek Sołokiji i Bugu, dzięki czemu tworzyły one jak gdyby naturalną ochronę przed ewentualnymi napadami nieprzyjacielskimi. Pałac posiadał ponad czterdzieści pokoi, nie licząc sali balowej, koncertowej, teatralnej i sal na wielkie przyjęcia.

Wnętrze pałacu urządzone było z przepychem: zdobiły go marmurowe kominki, piece kaflowe, kunsztownie wykonana stolarka itp.

Po pożarze w 1872 r. i częściowym spaleniu pałacu, przeprowadzono jego przebudowę. W jej wyniku zmieniono fasadę pałacu, cokolwiek podwyższając budynek, co zmieniło jego wygląd — lecz styl klasycystyczny został zachowany.

W okresie pierwszej wojny światowej pałac został zdewastowany przez wojska rosyjskie powyrywano drzwi, okna, uszkodzono kominki, piece i schody. Taki stan zniszczenia utrzymał się do 1937 r., kiedy to pałac przeszedł na własność rządu polskiego i miał być poddany kapitalnemu remontowi.

W kilkadziesiąt lat po ufundowaniu kościoła i klasztoru Bernardynów, wojewoda Franciszek Salezy Potocki sprowadził w 1764 r. do Krystynopola ojców Bazylianów do miejscowej cerkwi. Dopiero w sierpniu 1770 r. — dwa lata przed swoją śmiercią — wojewoda w uzgodnieniu z architektem Zelnarem wyznaczył miejsce pod budowę no-

wej cerkwi i monasteru. Naprzód rozpoczęto budowę klasztoru, a później przystąpiono do budowy cerkwi. Fundator nie doczekał się do pełnej realizacji swojej fundacji, zmarł bowiem w drugiej połowie 1772 r. Budowę cerkwi i monasteru ukończono za czasów spadkobiercy Krystynopola i wszystkich dóbr syna wojewody kijowskiego Szczonego Stanisława Potockiego — urodzonego w 1752 r. w Krystynopolu, zmarłego w Tulczynie 14 marca 1805 r. Nowy właściciel nie był już tak hojny dla Bazylianów jak jego ojciec. W tej sytuacji Bazylianie byli zmuszeni do szeroko zakrojonej kwesty dla zebrania funduszy. Ale oba obiekty zostały ukończone z końcem lat osiemdziesiątych XVIII w.

Z monasterem OO Bazylianów w Krystynopolu związana jest kronika tego klasztoru, która przetrwała do 1939 r. i ostatecznie znalazła się w Centralnym Archiwum Bazylianów we Lwowie. Kronika zawierała 160 kart — pisana była częściowo w języku polskim, częściowo łacińskim. Zawierał chronologiczny zapis wydarzeń dotyczących klasztoru Bazylianów, opis spraw miejscowych oraz ciekawe i interesujące wiadomości dotyczące panów na Krystynopolu — Potockich, a w szczególności wojewody kijowskiego Franciszka Salezego i jego syna Szczonego, późniejszego targowiczana.

Znajdował się w niej zapis wydarzenia, które wstrząsnęło i wzburzyło polską opinię lat siedemdziesiątych osiemnastego wieku. Pod datą 26 grudnia 1770 r. podano: „Jasnie Wielmożny Imć Pan Stanisław Potocki Wojewodzie Generałowicz ziemi kijowskiej, starosta bełzki z Wielmożną Imć Panną Gertrudą Komorowską starościanką nowosielecką sekretnie mimo woli i wiadomości J.J.W.W. rodziców swoich, owszem wszystkich za wyrobionem chytrze indulta przez jej ojca w Dobrotworze w kościele łacińskim ślub bierze i tai to przed wszystkimi, ale się odkryło.” Następny opis porwania tej treści: „Die 13 Febr. 1771 r. też nowoślubioną ktoś w nocy najechawszy z Nowego Sioła z pod Lwowa porywa i gdzie podziwia nie wiedzieć.”

Tragiczna historia Gertrudy z Komorowskich Potockiej posłużyła za kanwę poematu „Maria” napisanego przez Antoniego Malczewskiego; Józefowi Ignacemu Kraśzewskiemu — powieści historycznej „Starościana Bełzka”, a Józefowi Korzeniowskiemu dramatu „Dymitr i Maria”. Natomiast materiał informacyjny zawarty w kronice Monasteru Krystynopolskiego posłużył Janowi Czarnieckiemu do napisania wydanej w 1937 r. książki pod tytułem: Mały król na Rusi i jego stolica Krystynopol.

c.d.n.

Lwowski teatr operowy i operetkowy w latach 1872-1918

ANNA WYPYCH-GAWROŃSKA

Lata 1872-1918 to długi i barwny okres dziejów teatru lwowskiego i jego sceny operowej. Opera lwowska na pierwszym miejscu stawiała obowiązek pielęgnowania narodowego charakteru sceny, propagowania rodzimej twórczości operowej i formowania zespołu złożonego z polskich artystów. Narodowe zadania operowej sceny we Lwowie były szczególnie ważne w związku z sytuacją opery warszawskiej, jedynej oprócz lwowskiej sceny operowej na ziemiach polskich. W Warszawie nie mogło być mowy o akceptowaniu polskiego teatru. Opery rodzimych kompozytorów, szczególnie te oparte na wielkich dziełach romantyków, nie miały tam szans na wejście do repertuaru.

Walka o polską operę we Lwowie zaczęła się już w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy realniejsze stało się upragnione przez Polaków zlikwidowanie teatru niemieckiego. Aż do 1872 r. dwie sceny, polska i niemiecka, egzystowały obok siebie w jednym budynku. Przywilej wystawiania oper miała trupa niemiecka. Wraz z jej usunię-

ciem ze Lwowa miała ulec likwidacji scena operowa. Tymczasem Lwów wcale nie zamierzał pożegnać się z operą. Po pierwsze, teatr operowy był nobilitacją dla stołecznego przecież miasta, po drugie lwowiaczy, uchodzący za niezwykle muzykalnych, żyli się z operą i nie chcieli pozbawiać się tej szlachetnej rozrywki. „Na gruzach niemieckiej opery powinna i musi stanąć tymi samymi funduszami i subwencjami opera świetna narodowa” stwierdzano z przekonaniem w prasie lwowskiej (M.Sieber „Mrówka” 1870, z.5).

Utworzona w 1872 r. polska scena operowa we Lwowie była częścią całego teatru, pozostająca pod kierunkiem jednej dyrekcji, z braku innych budynków teatralnych dzieląca się sceną z zespołem dramatycznym i operetkowym. Owa „trójdzielnosc” teatru lwowskiego pozostała jego specyficzną cechą aż do 1918 r.

Konieczność współdziałania trzech scen powodowała liczne skutki organizacyjne. Przedstawienia operowe nie odbywały się każdego wieczoru, a tylko w wybrane dni tygodnia. Od początku istnienia lwowskiej

opery utarły się określone „dni operowe”: wtorek, czwartek, sobota i co pewien czas niedziela. Poza sezonem operowym w te właśnie dni często, choć nieregularnie, grywano operetki. Operetkom przypadały poza tym niektóre przedstawienia popołudniowe, będące od lat siedemdziesiątych integralną częścią rytmu spektakli na scenie lwowskiej.

Opera lwowska z założenia miała być sceną stałą, a przedstawienia dawane przez cały rok. Ten typ działalności teatru operowego utrzymał się jednakże tylko kilka sezonów. Już w latach osiemdziesiątych opera lwowska stała się sceną sezonową, do 1900 r. najczęściej trzymiesięczną, dającą przedstawienia głównie w styczniu, lutym, marcu a kończącą działalność wraz ze świętami Wielkiej Nocy. Dopiero Pawlikowski, a po nim Heller postarali się o to, by sezon trwał przynajmniej sześć miesięcy, co dawało szansę stworzenia teatru operowego na odpowiednim poziomie. trzymiesięczny cykl operowy wprowadzono ze względów finansowych. Taniej było na krótko zatrudniać kosztownych solistów. Korzyści materialne były oczywiste. Niestety, nie szły w parze z poziomem artystycznym. Dotyczyło to głównie orkiestry i chórów, które poza sezonem operowym zajmowały się operetką i „zapominały” o poważniejszej muzyce.

Narodowe zadania opera lwowska realizowała przede wszystkim poprzez repertuar sceny. Wielokrotnie przypomniano, że obo-

wiązkiem teatru lwowskiego jest propagowanie repertuaru polskiego, ponieważ „tylko przez dawanie kompozytorom możliwości słyszenia swoich dzieł, próbowania sił własnych i ciągłego kształcenia się przez doświadczenia można podnieść sztukę swojego narodu” (J. Leszczyński, „Młoda muzyka” 1909, nr 15). Opera lwowska miała wyjątkowe zasługi w propagowaniu polskiego repertuaru. Gdy od 1872 do 1918 r. co kilka lat odbywała się tu prapremiera polskiej opery, Warszawa pokazała po raz pierwszy zaledwie kilka rodzimych utworów. We Lwowie prapremierowe przedstawienia miały wszystkie cztery dzieła Władysława Żeleńskiego: Konrad Wallenrod, Goplana, Janek i Stara baśń. Z przeznaczeniem do realizacji w lwowskiej operze pisał swoje utwory wieloletni kapelmistrz miejscowej orkiestry teatralnej Henryk Jarecki. Prapremiery we Lwowie miały wszystkie jego opery: Hugo, Mindowe, Jadwiga, Barbara Radziwiłłówna, Powrót taty. Tutaj, po raz pierwszy zrealizowano jedną z lepszych oper Zygmunta Noskowskiego Livie Quintille; we Lwowie swój operowy talent kompozytorski dał poznać Ludomir Różycki w Bolesławie Śmiałym. W teatrze lwowskim odbyła się polska premiera głośniejszej opery Ignacego Jana Paderewskiego Manru, pokazanej w krótki czas po drezdeńskiej prapremierze. Lwowska opera chętnie też wystawiała dzieła mniej znanych polskich twórców. Miały tu prapremiery opery miejscowego kompozytora Mieczysława Sołtyśa: Rzeczpospolita babińska, Opowieść ukraińska i dwa dzieła nieprofesjonalnych twórców, cieszące się żywym przyjęciem z powodu literackich pierwowzorów librett: Pan Tadeusz — Józefa Wydzgi i Pan Wołodyjowski — Henryka Skirmuntta.

Na wszystkie te wyjątkowe przedstawienia zjeżdżali dziennikarze, krytycy, muzycy z Galicji i sąsiednich zaborów. Prapremierowe spektakle zazwyczaj uświetniali swoją obecnością twórcy dzieł, nierzadko nawet prowadząc za pulpitem dyrygenckim pierwsze przedstawienie. Pobytu we Lwowie słynnych kompozytorów uatrakcyjniały liczne pozateatralne wydarzenia, bankiety, przyjęcia i koncerty kompozytorskie. Z wielkim przypływem podejmowano w 1901 r. ciesząc się światową sławą Paderewskiego. A satysfakcji dostarczył lwowskiej operze fakt, że mistrz po obejrzeniu jednej z ostatnich prób przed premierą Manru stwierdził: „To teatr prawdziwie europejski”.

W zakresie przybliżenia repertuaru obcych kompozytorów miał Lwów również wyjątkowe zasługi. A trudno było tu dorównać operze warszawskiej, która ten dział traktowała ze szczególną pieczołowitością. W latach 1872-1918 odbyło się we Lwowie kilkanaście polskich premier utworów o niebagatelnym znaczeniu dla kultury muzycznej. Najciekawszą kartę lwowskiego repertuaru obcego są dzieje utworów Ryszarda Wagnera.

Otóż właśnie we Lwowie w 1877 r. miała miejsce premiera Lohengrina, będąca zarazem pierwszym wystawieniem dzieła Wagnera na polskiej scenie. Po 1897 r. zagrano kolejne utwory Wagnera, z których Rienzi, Latający Holender, Złoto Renu, Zygfryd i Zmierzch bogów miały we Lwowie swoje polskie premiery (Warszawa po raz pierwszy pokazała tylko dwa utwory Wagnera: Walkirie i Tannhäusera). Wystawienie w lutym 1911 r. całego Pierścienia Nibelunga pozostało aż do warszawskiego przedstawienia z 1989 r. jedyną polską realizacją całej Wagnerowskiej teatralogii.

Narodowe zadania opera lwowska miała też realizować poprzez tworzenie zespołu solistów złożonego „w miarę możliwości” z polskich wykonawców. Tymczasem rzecz nie była prosta. Wielu polskich artystów starało się przede wszystkim o angaże w obcych teatrach i trudno było ich na dłuższy czas ściągnąć do Lwowa. Poza nimi na stałe dyrektorzy teatru lwowskiego mogli liczyć właściwie tylko na śpiewaków operetki, wykonujących w operach partie drugo i trzecioplanowe, a w popularniejszych dziełach, np. w Halce, nawet partie pierwszoplanowe. Z braku rodzimych artystów dyrektorzy opery lwowskiej musieli zatrudniać do zespołu śpiewaków zagranicznych, głównie Włochów i Austriaków, rzadziej Anglików, Niemców i Hiszpanów.

Najkorzystniejsze dla lwowskiej sceny okazało się angażowanie do zespołu miejscowych śpiewaków, wykształconych przez lwowskich nauczycieli. Nie bez podstaw w XIX w. nazywano Lwów „gniazdem słowików”. Stąd wyszło kilkunastu najwybitniejszych polskich wokalistów, słynnych później nie tylko w Europie, ale i na innych kontynentach: Aleksander Myszuga, Teresa Arklowa, Aleksander Bandrowski, Marian Alma, Irena Bohuss-Hellerowa, Janina Korolowicz-Waydowa, Salomea Kruszelnicka, Maria Pawłoków, Mira Heller, Helena Zboińska-Ruszkowska, Maria Gembarzewska, Eugenia Strassern, Stanisława Szymanowska, Maria Mokrzycka, Adam Didur i wielu, wielu innych. Wszyscy oni pobierali pierwsze nauki we Lwowie. W zakresie szkolnictwa muzycznego mógł się Lwów poszczycić znakomitymi placówkami i wyśmienitymi pedagogami. Najśłynniejszym nauczycielem śpiewu solowego był we Lwowie Walery Wysocki, pedagog konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Stworzył on własną, uznaną i efektywną metodę śpiewu, pod jego kierunkiem wykształciło się kilkunastu najlepszych lwowskich śpiewaków. Niemal równie wspaniałe osiągnięcia miało małżeństwo Souvestrów, prowadzące klasę śpiewu w szkole słynnej „Lutni” lwowskiej. Oprócz tego działało we Lwowie sporo innych szkół, czy to otwieranych przy towarzystwach muzycznych, czy to prywatnych, prowadzonych nierzadko przez aktualnych lub byłych śpiewaków opery.

Sezony operowe, w których zatrudnieni byli miejscowi debutanci, były w historii teatru lwowskiego najlepsze i najciekawsze. Nie tylko dawano szansę młodym śpiewakom, ale również realizowano cel najważniejszy: POLSKĄ operę we Lwowie.

W ocenach przedstawień opery lwowskiej najwięcej krytycznych uwag padało pod adresem orkiestry i chórów. Były one często nad miarę obciążone obowiązkami związanymi z współistnieniem kilku scen. Orkiestra musiała nie tylko występować w spektaklach operowych i operetkowych, ale i grać w antraktach w przedstawieniach dramatycznych. Zespół instrumentalistów teatru lwowskiego zawsze był ilościowo zbyt mały, najczęściej liczył około czterdziestu muzyków, co było liczbą niemal śmieszną w stosunku do wymagań dzieł Wagnerowskich czy wielkiej opery historycznej. Nie znaczyło to oczywiście, że orkiestra lwowska nie miała swoich wielkich chwil. W jej skład wchodził przecież, podnoszący poziom zespołu, najwybitniejsi lwowscy muzycy, profesorowie miejscowego konserwatorium lub innych szkół muzycznych.

Bardzo korzystnie w dziejach lwowskiej opery zapisali się jej dyrygenci, a szczególnie Henryk Jarecki. Przez kilka lat pracujący jako drugi kapelmistrz, w 1877 r. został pierwszym dyrygentem i piastował to stanowisko aż do 1900 r. Co ważne, przez kilkadziesiąt lat pracy w teatrze Jarecki cieszył się stałym, niezmiennym uznaniem. Był on bowiem człowiekiem o wielkich zaletach, skromnym, pracowitym, niekonfliktowym, a przy tym bardzo utalentowanym i jako dyrygent, i jako kompozytor. Po odejściu Jareckiego dyrekcje musiały starać się głównie o siły obce, ale i tu Lwów miał szczęście, zatrudniani dyrygenci okazywali się wyśmienitymi artystami i żałowano jedynie, że nie mogą pozostać we Lwowie na dłużej. Orkiestrą teatralną kierowali Czesi (Ludwik Czelański, Milan Zuna), Włosi (Franciszek Spretino, Filip Brunetto, Wiktor Podesti) i Hiszpan (Antoni Ribera).

Operetka lwowska, druga muzyczna scena teatru, była jego odrębną częścią na tyle, że miała własny zespół solistów, kapelmistrza i repertuar oraz określone, choć nie tak kategorycznie, jak w przypadku opery, dni dla swych przedstawień. Nie sposób pominąć operetki w rozważaniach o operze, tak ściśle te dwie sceny się ze sobą wiązały. Sezon operowy zawsze był prawie martwym okresem dla operetki, z zakończeniem przedstawień operowych natychmiast wkraczały na ich miejsce spektakle operetkowe. Opera i operetka lwowska dzieliły się orkiestrą i chórami. Śpiewacy operetki zawsze byli gotowi na uzupełnienie braków w zespole opery, brali na siebie też trudne zadanie towarzyszenia gwiazdom operowym, które często przybywały do Lwowa poza sezonem opery i jedyną możliwością pokazania ich publiczności było obsadzenie po-

zostałych partii i utworów siłami operetkowymi.

Operetka miała swoje okresy wzniości i upadków. Niektórzy dyrektorzy wyjątkowo ją cenili, przede wszystkim dlatego, że była niemal pewnym sposobem do zapewnienia kasy teatralnej, osłabionej wydatkami na inne przedstawienia. Repertuar sceny operetkowej nie wyróżniał jej spośród europejskich teatrów tego typu, a szczególnie bliski był repertuariowi scen wiedeńskich. Silną stroną operetki lwowskiej był natomiast zespół składający się z wymienionych artystów, którzy nawet kilkanaście, a w rzadkich wypadkach i przez kilkadziesiąt lat związani byli ze sceną lwowską. Do śpiewaków najdłużej pracujących w operetce lwowskiej należeli: Elżbieta Skalska, Amalia Kasprowiczowa, Karolina Kliszewska, Antonina Radwan, Tadeusz Skalski, Julian Myszkowski, Helena Miłowska, Helena Schupp, Andrzej Lelewicz, Adolf Kiczman. Na długo w pamięci lwowian zapisali się wybitni komicy operetkowi, rozbawiający publiczność m. inn. dołączanym do tekstów operetek kupletami, traktującymi najczęściej o aktualnych, gorących problemach. Z operetką lwowską łączy się też postać Adolfiny Zimajer, zaczynającej tu swoją karierę, a w późniejszych latach wielokrotnie wracającej do Lwowa na cały sezon lub na występy gościnne.

Publiczność lwowska chętnie uczęszczała na muzyczne przedstawienia teatralne. Szczególnie operetka nie miała problemów z zapewnieniem widowni, na jej spektaklach bywali nie tylko miłośnicy muzyki, ale przede wszystkim widzowie poszukujący lek-

kiej, nie wymagającej przygotowania rozrywki. Natomiast przedstawienia operowe nie zawsze grano przy pełnej sali. Współcześnie zwracano jednak uwagę, że Lwów nie dysponuje tak liczną publicznością, jak np. Warszawa, która może liczyć na widzów przyjezdnych, odwiedzających miasto po drodze do Petersburga. We Lwowie opera musiała opierać się z reguły na tej samej grupie miejscowych odbiorców, o których wszakże dobrze świadczył fakt, że potrafili zapełnić widownię nawet na kilkunastu przedstawieniach tej samej opery w jednym tylko sezonie (np. *Aida* grana była w sezonie premierowym 1876/77 aż 29 razy, zawsze przy pełnej widowni).

O charakterze publiczności lwowskiej mówiono różnie. Zawsze podkreślano przysłówiową niemal muzykalność lwowian, uwielbiających piękny śpiew. Z drugiej strony widzowie lwowscy byli najczęściej amatorami, bez wykształcenia muzycznego. Może właśnie dlatego tak ostrożnie reagowali na nowości operowe, np. chłodno przyjęli pierwsze przedstawienia dzieł Wagnera czy Pucciniego. Określono poza tym publiczność lwowską mianem „zimnej”, nie witającej z przesadnym entuzjazmem przyjeżdżających do Lwowa śpiewaków, ale równocześnie zdolnej do gorącej reakcji, gdy okazywało się, że nowy wykonawca był wybitnym artystą.

Teatr operowy i operetkowy działał również poza Lwowem. Od 1874 r. gdy po raz pierwszy zespół wyjechał do Krakowa, aż do 1918, z nielicznymi tylko przerwami, scena muzyczna lwowska przez przynajmniej dwa letnie miesiące prezentowała się

publiczności krakowskiej, kilkakrotnie warszawskiej oraz sporadycznie widzom kilku miast prowincjonalnych. Szczególnie dla Krakowa, nie posiadającego własnej sceny operowej, było to bardzo ważne. Nazywano owe pobyty w innych miastach występami gościnnymi operetki lwowskiej, ale nie było to zupełnie trafne określenie. Zespół składał się wprawdzie przede wszystkim z artystów operetki, ale w repertuarze nierzadko znajdowały się poważne dzieła operowe.

Muzyczne sceny teatru stałe korzystały z bogatego zaplecza, jakiego dostarczało im rozwinięte życie muzyczne Lwowa. Działały tu od lat Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne, słynna, będąca wzorem dla innych miast Lutnia lwowska, funkcjonowały towarzystwa chóralskie, jak np. *Echo Macierz*, oraz instrumentalne, jak *Harmonia*. Powstanie opery polskiej stało się bodźcem dla tworzenia nowych szkół muzycznych, prowadzących kursy śpiewu solowego i chóralnego, kształcących instrumentalistów. Amatorskie zespoły (np. wymieniona już *Harmonia*), ale także orkiestry stacjonujących we Lwowie pułków austriackich, często wspomagały teatralnych instrumentalistów w realizacjach większych dzieł. Z kolei miasta, śpiewacy i instrumentalisci chętnie uczestniczyli w koncertach, członkowie zespołu poza pracą w teatrze zajmowali się także działalnością pedagogiczną. Opera lwowska wzbogacała kulturę muzyczną miasta i jako jedna z dwóch polskich scen operowych w znaczący sposób uzupełniała lukę w życiu muzycznym ziem polskich.

Anna Wypych-Gawrońska

„BURZA” PO „BURZY” Posłowie

LESZEK SAWICKI
ps. Trajan

Opublikowane w poprzednich numerach „Semper Fidelis” (nr 21, 22, 23) wspomnienia o „Burzy” i losach związanych z nią lwowskich kolegów — AK-owców — spowodowały oddźwięk żyjących jeszcze „chłopców z tamtych lat”. Otrzymałem kilka listów i telefonów; świadkowie wydarzeń prostowali niektóre moje pomyłki i dorzucali własne uzupełnienia. Widocznie artykuły te poruszyły zakątki pamięci ze skrywanymi dotychczas lub zapomnianymi fragmentami przeszłości, którymi teraz można dzielić się otwarcie z innymi. To cieszy, i taka była cicha intencja moich artykułów.

Poniżej podaję niektóre z uzupełnień oraz dodatkowe notki biograficzne uczestników wydarzeń, a chłopców z pokolenia „Burzy”.

Panowie: Adam Guszpit („Roma”) i Jan M. Słaby („Karmen”) z drużyny „Adama” uzupełnili relację z lipcowych dni 1944 r. na ulicy Asnyka („S.F.” nr 21). Zanim nasza drużyna „Leśnika” („Świtez/II”) stawiała się na koncentrację na ulicy Asnyka, była tam już drużyna „Adama”: Tula, „Gryf”, „Karmen” i „Roma” oraz kilku innych AK-owców z plutonu, na razie jeszcze „w cywilu”, bez opasek, przed dekonspiracją. Broni było mało: jeden przydziałowy „Sten”, pistolet „Walter”, dwa małe pistolety kal. 6,35 i przyniesiony przez „Romę” austriacki pistolet „Frommer” — zabytek z czasów Obrony Lwowa, do tego jeden granat trzonkowy. Chłopcy przebywali w mieszkaniu Tuli na III piętrze, starając się nie wzbudzać zain-

teresowania sąsiadów a tym bardziej niemieckich żołnierzy, którzy okopali się na przeciw kamienicy, na małym skwerku w rozszerzeniu ulicy Asnyka. Z okien mieszkania obserwowali co dzieje się na ulicy.

W godzinach przedpołudniowych (w sobotę, 22 lipca), w czasie walk, sowiecki czołg nadjechał od strony ulicy Piłsudskiego skręcając w Asnyka. Młody Niemiec, może 19-latek, wystrzelił z pancerfausta. Trafił w czołg i zabił jednego z czołgistów; pozostała obsługa czołgu rozbiegła się. Niemcy zaczęli rewidować domy w poszukiwaniu Rosjan. Nasi — a było ich w lokalu co najmniej dziesięciu — rozdzielili się, część zeszła do piwnicy, a w mieszkaniu zostali Tula, „Adam”, „Roma” i „Gryf”, którzy ukryli broń w piecu. Młody Niemiec — ten, który unieszkodliwił czołg — wszedł do mieszkania, ale Tula mówiący dobrze po niemiecku wythumaczył, że nie ma tu żadnych Rosjan. Wywiązała się rozmowa; Niemiec przyznał, że nie mają żadnych szans. Widząc, że chłopcy jedzą posny chleb, Niemiec dał im puszkę smalcu. Nasi odetchnęli i oczekiwali dalszych wydarzeń. Sytuacja Niemców na pla-



Rzeszów, dawny gmach Starostwa. W 1944 r. miejsce więzienia AK-owców przez sowiecki „SMIERSZ”

cówce rzeczywiście nie była lekka. Gdy jeden z naszych wdał się z nimi w rozmowę, wysunęli propozycję zamienienia broni i amunicji na ... cywilne ubrania. W nocy czujka niemiecka wycofała się.

Następnego dnia (w niedzielę, 23 lipca) w tym samym miejscu pojawił się dwuosobowy patrol Rosjan; szli w kierunku ulicy Piłsudskiego. Prowadzący „starszyzna” szedł ostrożnie pod murem, gdy na I-szym piętrze domu przy Piłsudskiego 4 błysnęła szyba otwieranego okna. Niewidoczny poprzednio Niemiec strzelił z karabinu trafiając Rosjanina. Ten upadł krzycząc, potem podczołgał się w stronę unieruchomionego czołgu, gdzie szukał osłony. Drugi Rosjanin wycofał się. Porzuconą „pepeszę” zabrał potem Tula.

W nocy kobiety przyciągnęły ранnego „starszyne” do piwnicy naszego domu. Znalazł się wśród mieszkańców domu lekarz, ale Rosjanin zmarł.

Żołnierze AK chcieli go pochować. „Karmen” z kolegą na próżno starali się zwerbować mieszkańców z łopatami dla wykopania grobu na skwerze; mieszkający tu Ukraińcy nie dali się wyciągnąć ze schronów, obawiając się, że „polscy żołnierze” chcieliby ich zastrzelić (? !). A nam chodziło o prostą ludzką usługę. W końcu pochowaliśmy „starszyne” na skwerze małego rozszerzenia w połowie ulicy Asnyka. Nie posiadał przy sobie niczego, pod mundurem nawet nie miał koszu.

Gdy śródmieście zostało zajęte przez Rosjan, odciągnęli oni unieruchomiony czołg. W tym miejscu stanęło działo przeciwpancerne (Niemcy trzymali jeszcze rejon gmachów Województwa), i taki obraz jest utrwalony na mojej fotografii zrobionej 25.07. („S.F.” nr 21).

Odnosnie do sprawy drukarni „Czynu” pod Wesołą („S.F.” nr 23): była ona umieszczona w podpiwniczeniu domu gajowego Józefa Dziury. Prowadził ją drukarz Józef Sigda. Obaj zostali aresztowani w czasie obławy przez NKWD 29.10.1944 r. Sigda był również wywieziony do ZSRR, a swoje dzieje opisał w książce „Wspomnienia sybiraka”.



Witani kwiatami chłopcy z 26 pp AK w marszu na Warszawę

Dodatkowe notki biograficzne lwowskich uczestników „Burzy” przedstawionych w poprzednich artykułach

„Roma” — Adam Guszpit

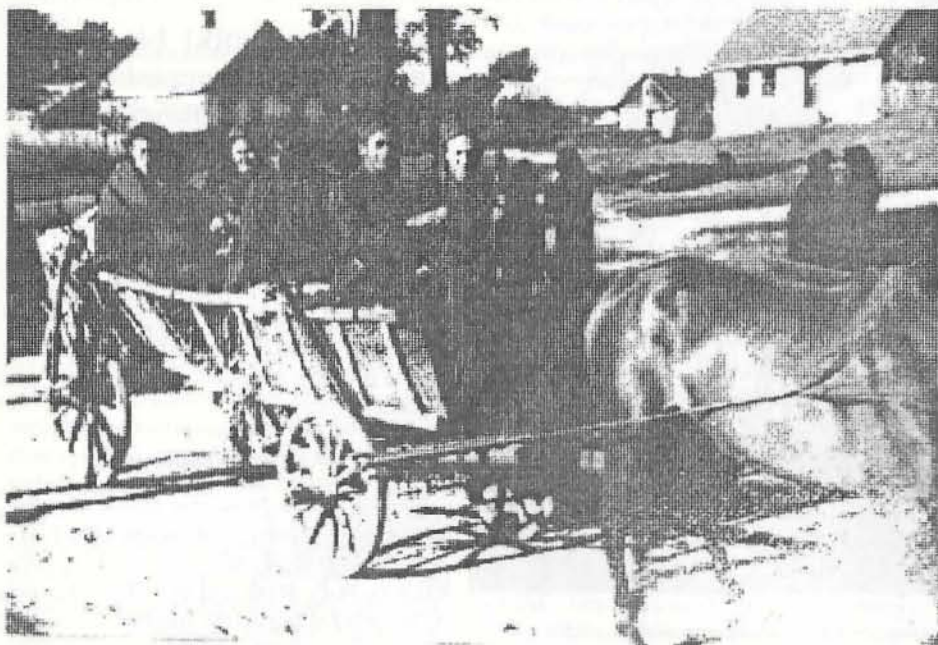
W latach 1943-44 jako „Gil” był wraz z siostrami kolporterem podziemnej prasy NOWAK (vide: J. Węgierski — „Lwowska konspiracja narodowa i katolicka 1939-1946”). Po wojnie żołnierz W.P., później księgowy we Wrocławiu; emeryt.

„Gryf” — Jerzy Ragankiewicz

Ukończył konspiracyjną szkołę podoficerską AK. Po pobycie w jarosławskim batalionie przeszedł jako oficer 39 pułku artylerii W.P. szlak bojowy II Armii, od Nysy przez Łużycę do Mielnika w Czechach. Po wojnie lekarz-torakochirurg; emer. dyrektor sanatorium w Głucholazach.

Pisze on: (w sierpniu 1944) „... w Wojenkomacie przy ul. Ochronek (...) przyjęto mnie, ale zamiast do obozu zbiorczego doprowadzono do więzienia na Łąckiego. Tu zaczęła się kilkudniowa kołomyjka polegająca na przesłuchaniach i wmawianiu, że jestem partyzanckim komandirem.

Dochodziło do kilkakrotnych konfrontacji z ukraińskimi bandziorami, którzy mieli we mnie rozpoznać takiego komandira. (...) Po przesiedzeniu kilku dni w przepełnionej celi w dniu 21 sierpnia przeprowadzono nas do baraku przy ul. Pierackiego, gdzie znajdował się punkt zborny kierowanych do wojska. 22 sierpnia



Tabor 8 kompanii 26 pp AK. Na wozie sanitariuszka Ewa Szczepankiewiczówna ps. „Małgosia” i Krystyna Dąbrowska ps. „Jaś”, na przodzie po lewej kpr. Z. Godziński ps. „Żbik”, obok Jerzy Kozłowski ps. „Daniel”

nia wyszedł pieszy transport do Jarosławia”.

„Jerzy Śląski” („S.F.” nr 22, 23)

— to mgr inż. **Jerzy Radwan-Wiatrowski**, ppor. AK, absolwent konspiracyjnej Szkoły Podchorążych Łączności; po wojnie inżynier-konstruktor w Trójmieście, działacz „Solidarności”. Obecnie — jako emeryt — radny miasta Sopotu, członek kapituły „Krzyża II Obrony Lwowa rozpoczętej w 1939 roku”. Od sierpnia 1944 do lutego 1945 odbył czterokrotnie (wraz z opisaną w „S.F.” nr 23) podróż przez granicę z rejonu Przeworska do Lwowa. Ostatnia podróż zakończyła się wpadką we Lwowie. Po pobycie na NKWD przy ul. Pełczyńskiej i Łąckiego udało mu się uciec i powrócić do oddziału „Sulimy” w rejonie Przeworska.

Przyjaciele:

Jan Hollender („Szajba”)



i **Zbigniew Kuźniak** („Bynio”)

aresztowani przez NKWD na Wesołej („S.F.” nr 23) i więzieni w Rzeszowie — przeszli najbardziej typowy łańcuch losów młodych AKowców. W Rzeszowie, w czasie przesłuchania, major NKWD wybił Jasiowi „Szajbie” dwa zęby kolbą pistoletu. Wraz ze Zbigniewem Opalkiem, Mieczysławem Kapko i innymi aresztowanymi przewieziono ich 13.11.1944 do koszar — obozu NKWD w Bakończycach koło Przemyśla, skąd po przemundurowaniu w wojskowe mundury Wehrmachtu (!) wywieziono do ZSRR — do Borowicz koło Leningradu. Po dwunastodniowej podróży przegnano ich pieszo do odległego o 15 kilometrów podoboju jeńców niemieckich w Jegolsku (Jegły). Obaj, ciężko chorzy, zostali pod koniec marca 1945 r. umieszczeni w jenieckim szpitalu dla Niemców w Borowiczach. Tu Zbyszek Kuźniak, po kąpieli w chłodnej łaźni w dniu przyjęcia do szpitala nabawił się ciężkiego zapalenia płuc. Zmarł w Borowiczach w dniu zakończenia wojny (9.05.1945). „Szajba” pracował później w kopalni węgla i w kamieniołomach. Choremu na dystrofię Jasiowi udało się przy pomocy polskich lekarzy w szpitalu w Jegolsku (dr Hornowski) uzyskać możliwość powrotu do kraju. Wrócił do „suwerennej” Polski w lutym 1956 r. Porucznik rezerwy, w cywilu specjalista ekonomiki transportu. Obecnie — emeryt w Łodzi.

Tula („Alfa”) czyli **Jerzy Martula**

— po wojnie inżynier-mechanik, absolwent politechniki w Goeteborgu (Szwecja), konstruktor w zakładach „Volvo”. Obecnie jako

emeryt przebywa we Francji.

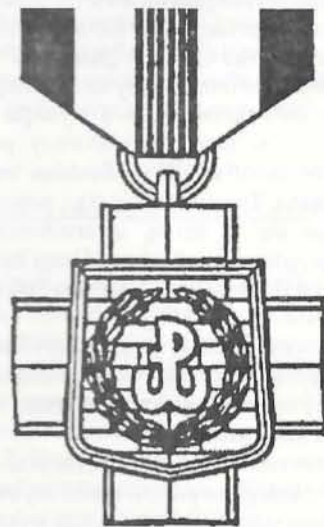
Strzelec „Wrona” — **Nunek Stasiak**,

po wojnie wrocławianin, zmarł przed pięciu laty. Porucznik „Władysław” („S.F.” nr 22, 23) to **Władysław Życzynski**. Nazwiska „Wacława”, naszego dowódcy plutonu w czasie „Burzy” („S.F.” nr 21) nie udało mi się ustalić.

Dopiero w styczniu bieżącego roku udało mi się odnaleźć „Leśnika” — **Witolda Gawalewicza**, dowódcę naszej drużyny z lwowskiej „Burzy”, gdy przyjechał na krótko z Kanady do Warszawy. Od 1945 roku był żołnierzem Drugiego Korpusu Polskiego we Włoszech. Ukończył za granicą studia wyższe z zakresu architektury wnętrz; obecnie jako emeryt mieszka w Kanadzie.

Dzięki uprzejmości pani Iwony Szredzkiej (córkę kpt. „Sulimy”) otrzymałem dwie fotografie z marszu lwowskich AK-owców na pomoc Warszawie, wykonane przypuszczalnie w Leżajsku, w sierpniu 1944 roku.

Kim są dzisiaj „chłopcy z tamtych lat”, lwowscy uczestnicy „Burzy”? Starsi panowie, w wieku około siedemdziesiątki, więc już emeryci. Nie kreują się na bohaterów, nie osiągnęli beneficjów z tytułu zasług dla Ojczyzny. Zniżka na koleje, niewielki dodatek kombatancki do emerytury — to wszystko, co im zaoferowano po pięćdziesięciu latach. Stanowiska jakie osiągnęli w życiu zawdzięczają własnej pracy czy rozwojowi



naukowemu. Tylko nieliczni podparli swoje kariery przyłączeniem się do rządzącej partii komunistycznej. O swojej przeszłości wojennej mówią ot tak, po prostu: to był obowiązek ich pokolenia. W ankietach personalnych ukrywali swoją AKowską przeszłość, chyba że ktoś miał ją przypieczętowaną wyrokiem czy zesłaniem w ZSRR. Zmiany ustrojowe Polski po 1989 roku najlepiej skwitował jeden z moich lwowskich przyjaciół: „Wyszła na naszy, ali jeszcze ni całkim!”.

Leszek Sawicki

W latach trzydziestych istniała, bodajże w centrum miasta moda na chodzenie „na wystawy”. Po prostu ze znajomymi lub krewnymi przechadzało się po tzw. Corso ulicami Legionów, pl. Mariackim, Akademicką do końca i oglądało wystawy sklepowe np. wyroby porcelanowe, piękne okrycia, suknie, materiały, firany spływające po urządzeniach napędzanych elektrycznie, wyroby cukiernicze: w czasie Świąt Bożego Narodzenia słynna cukiernia Zalewskiego na ul. Akademickiej 22 robiła wystawę z konia, sań i św. Mikołaja na saniach, wszystko zrobione z czekolady. Poza tym oglądało się fotosy kin, leżących na tej trasie: kino Muza na 3 maja, na Legionów 5 Casino i Empire w jednej kamienicy, na Kopernika kino Kopernik i Raj, a wewnątrz Pasażu Mikolascha fotosy kina: Uciecha i Pasaż, na Akademickiej Europa i Chimera, na pl. Akademickim kino Rialto. Poza tym można było pooglądać powiększone widokówki z różnych krajów w Fotoplastykonie mieszczącym się w Galerii Mariackiej.

Spacery bliższe i dalsze c.d.

EMIL HLIB



Autor w 1943 r.

Te spacery na pewno były kontynuacją zaprowadzoną w II poł. XIX w. gdy po zasklepieniu koryta Pełtwi i po dawnych opokach fortyfikacyjnych powstała znana aleja spacerowa (promenada), na której odbywały się przeglądy najnowszych strojów i kapeluszy z ogrodami kwiatów i spotkania urzędników po wyjściu z biur. Popularnym miejscem spotkań była też kawiarnia Wiedeńska, w kamienicy 4-ro frontowej Hartmana, naprzeciw pomnika króla Jana III-go (obecnie w sierpniu 1992 r. Ukraińcy na miejscu nasze-

go pomnika postawili pomnik T.Szewczeni, w postawie stojącej, naprzeciw kamienicy, w której był słynny sklep obuwniczy „Delka” i z której zrobiono hotel „Grand” wynajmowany za dolary dla zagranicznych turystów).

Moją znajomość z ul. Teatyńską zawarłem w dzieciństwie, gdy po raz pierwszy zjeżdżałem po niej na sankach. Ulica była dosyć stroma i po starcie spod pałacu arcybiskupiego zjeżdżało się aż na pl. Strzelecki. Te wesołe zjazdy na spokojnej ulicy przerywały od czasu do czasu okrzyki „guła”, co znaczyło, że strażnik ogrodowy goni dzieci zjeżdżające po ulicy. Widziałem nieraz jak ktoś nieroztropny chciał zimą wjechać z furką i koniem pod górę i ile go trudu kosztowało (i konia) by wjechać na górę. Natomiast nasz abp Twardowski, mieszkający na górze w swoim pałacu radził sobie lepiej, bowiem jego karetta obierała łagodniejszą drogę przez ul. Czarneckiego.

Po lewej stronie Teatyńskiej były tajemnicze mury podzielone wysokim murem tzw. drogą tatarską prowadzącą na Wysoki Zamek. Dopiero w wiele lat później dowiedziałem się, że te pierwsze mury, licząc od podnóża ulicy, należą do klasztoru Benedyktynów, a te drugie, do Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego á Paulo. Tu właśnie u Sióstr Miłosierdzia znalazł cichy przytułek i schronienie legendarny powstaniec z 1863 r. chorąży Ziemi Witebskiej, oficer Wizunas Szydłowski, który w jednej z potyczek został okrutnie posiekany szablami i pikami przez wojska carskie i pozostawiony, nie

dający odznak życia, odnaleziony przez zakonnice, które się nim zajęły i po doprowadzeniu do zdrowia przewiozły go potajemnie do wymienionych sióstr, gdzie znalazł schronienie. W podzięce został ogrodnikiem, a potem buchalterem. Znał również kilka języków obcych.

On to podczas odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w 1885 r., ubrany w starodawny strój polski, wygłosił płomienną mowę i wizję o rychłym zmartwychwstaniu Polski z niewoli. Jego pomnik znajduje się w kwatery Powstańców Styczniowych na tzw. Górze Powstańczej. W chwilach wolnych przesiadywał w oknach klasztoru i patrzył z góry na miasto (jeszcze nie zasłonięte przez rosnące drzewa), które przypominało mu drogę miasto Wilno, w którym długie lata przebywał.

Po prawej stronie ul. Teatyńskiej stał pałac arcybiskupi zbudowany w latach 1840-44 z fundacji abp Pischteka. Poprzednio pałac arcybiskupi znajdował się w Rynku pod nr 9. W latach następnych zbudowano seminarium duchowne dla księży diecezjalnych. To tu, ze Strzelczej Góry, Austriacy ostrzeliwali miasto w dniu 2 listopada 1848 r. (Wiosna Ludów), wzdłuż ul. Skarbowskiej, a drugi ostrzał prowadzili spod hotelu George'a wzdłuż ul. Rutowskiego, w wyniku czego spalili ratusz z wieżą aż do I-go piętra, uniwersytet, kościół i teatr z salą reductową przy pl. Castrum (zamkowym) oraz szereg domów. Zginęło wówczas 55 osób, 75 zraniono, strat wojskowych nie podano.

Idąc dalej ul. Teatyńską między murem seminarium a klasztorem SS Miłosierdzia, zwłaszcza w zimowe wieczory, z daleka widać było kolorowy witraż okienny, z wizerunkiem Jezusa Chrystusa. Przy migotliwym świetle rzadko rozrzuconych latarni gazowych, ten obraz jaśniał jak morska latarnia, pobudzająca człowieka do medytacji, nie dziw, że przechodzący z rzadka przechodnie ze czcią zdejmowali z głów nakrycia.

Na Wysoki Zamek, to znaczy na górną platformę można było dostać się 4-ma drogami: Sieniawską od Starego Rynku, Klasztorną pod dom ogrodnika, wybudowanego pośród gęstej zieleni, ul. Kopcową, najbardziej stromą drogą — serpentynami i schodkami i od strony końcowego przystanku tramwajowego, 4-ki drogą dosyć łagodną, po której można było nawet jechać samochodem. Na pierwszym podejściu, od ogrodnika w lewo, wychodziło się do kamiennej grotty z XVI w. gdzie u wejścia zostały umieszczone dwa lwy z 1618 r. Lorencowiczów, bogatych patrycjuszów lwowskich, które ozdabiały poprzednio wejście do ratusza w Rynku. Stąd rozpościerał się znakomity widok na zachodnią część miasta na tak zwany stary Lwów książęcy. Obecnie to miejsce jest całkowicie zarośnięte drzewami. Na pierwszym podejściu postawione były łąki, które w ciepłe dni były zajęte przez Ży-

dów, którzy oprócz omawiania interesów, grali w szachy i „oddychali” świeżym powietrzem. A dla nas, uczniów szkół powszechnych, w jesieni była wielka frajda, gdy mogliśmy chodzić po opadłych liściach z kasztanów, było ich tyle, że sięgały prawie do kolan. No, ale nie zawsze rosły tu drzewa, bowiem już w XVI w. Wysoki Zamek ogolony był z drzew, tak jak to widać na starych sztychach. Dopiero od 1835-39 r. rozpoczęto zalesianie góry zamkowej, a w roku 1869 z inicjatywy Franciszka Smolki (wówczas stanu, posła na Sejm Galicyjski i później prezydenta parlamentu austriackiego) rozpoczęto sypanie kopca, na cześć 300-stulecia Unii Lubelskiej, która ustaliła, że Korona i Wielkie Księstwo Litewskie tworzą jedno państwo, jest jeden król, wspólny Sejm i moneta, wspólna polityka zagraniczna, prawo osiedlania się i kilka innych ustaw.



Widok na Kleparów, na horyzoncie w środkowej części koniec lasu Brzechowickiego, pod lasem były Stawki, po prawej stronie cerkiew św. Andrzeja

Na wyżej położonej polanie, na której jest usypany kopiec, przy samym wejściu od strony zachodniej był ładny punkt widokowy w kierunku południowym, potrzebnym zwłaszcza dla ludzi starszych, nie mających dość siły, by wyjść na kopiec. Jak napisałem był, bo za władzy radzieckiej został zasłonięty przez rosnące drzewa. Podobnie powoli zarasta kopiec, by celowo zasłonić jeden z najładniejszych widoków Kresów Wsch.

Po zejściu z Wysokiego Zamku, na dolnej polanie można przejść i dzisiaj do kamienia pamiątkowego, położonego w bocznej alejce, od strony stacji kolejowej Fodzamcza, na którym wykuto napis: R.P. 1675 dnia 24 sierpnia na polach Lesienic, widocznych z tego wzgórza Jan III Sobieski, król Polski, W. Książę Litewski etc. z 6000 polskiego rycerstwa rozgromił 40000 hordę tatarską idącą na Lwów. Czcząc pamięć bohaterskiej obrony, Rada Miasta Lwowa w dwusetną rocznicę Odsieczy Wiednia 12 września 1883 położyła ten kamień. (Sobieski jest obecnie czczony, bo bronił Ruś przed bisurmanami, hordami i Moskalami, również Żółkiewski, bowiem zdobył Moskwę i dlatego Żółkiew spowrotem powróciła do starej nazwy — przedtem był Niesterow).

Za Wysokim Zamkiem idąc na wschód, stoi góra Lwia, piaszczysta, z rzadka porośnięta trawą. Wejście na szczyt drogą piaszczystą było punktem honoru dla małych dzieci. Niedaleko od tej góry jest płaskowyż, stromo opadający z trzech stron w kierunku Starego Zniesienia, zwany Helenka. Urządzane tam były huczne, nocne zabawy dla rodzin wojskowych, jak również dla ludzi o zasobnych porfelach. Od tego miejsca na wschód zaczyna się Kajzerwald. Za moich czasów rozciągały się tam pola uprawne i ciągnęły się aż do stacji kolejowej Łyczakowskiej. Za Austriaków ten teren był całkowicie zalesiony, ale podczas I wojny światowej, ludność okoliczna z braku opału cały las wycięła, obecnie Kajzerwald znowu jest zalesiony, a obok cerkwi Studystów,

w odwiedzinach. W tych lasach sosnowych, na świeżym powietrzu, do dziś pamiętam, że mieliśmy tam dobry apetyt. Na kolonii dzieciaki śpiewały taką piosenkę (na mel. sztajerka „Tam na Kleparowie”):

Bo gdy rano wstajesz, tak na równe nogi,
zaraz sobi myślisz, kluski, czy pierogi,
i układasz plany, żeby przez dzień cały,
były figle, psoty i różne kawały.

(na mel. „Ojciec z niebios”)

Potem robisz gimnastykę, a po niej jest
śniadanie,
wcinasz kawę z rogalikiem i nie dziękujesz za nie.

(na mel. „Chodziłem po polu”)

A gdy po śniadaniu, dobry humor mamy,
To wszystkie papiery, to wszystkie papiery,
do kosza wrzucamy.

(na mel. „Hej tam pod lasem”)

Hej tam pod lasem, coś błyszczący kwieciami,
to na borówki kolonia leci.

Bums tradi radi szklaneczka, bums tradi
radi puszczałka,
bums tradi radi garnuszek, mam pełny już
brzuszek.

(na mel. tanga Gdy wrócisz”)

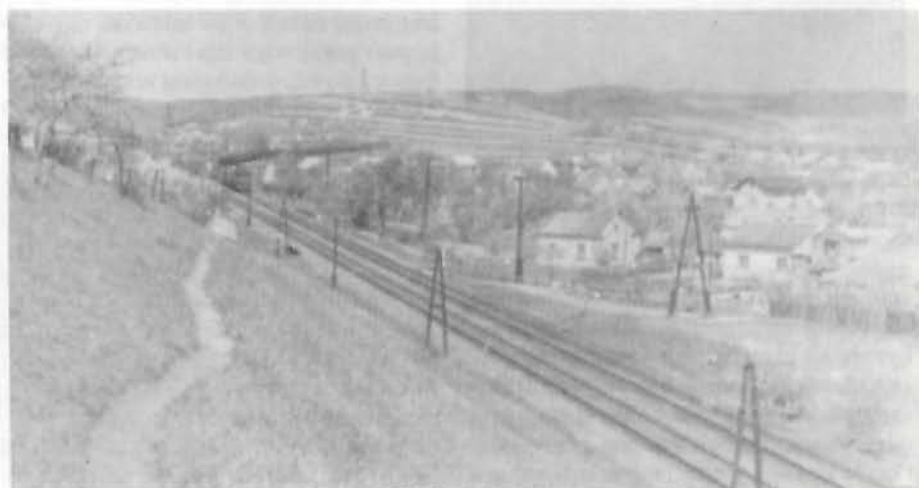
Gdy wrócisz, na łóżko się przewrócisz,
nogami się nakryjesz, jak gdyby nigdy
nie.

(na mel. „Po coś w mieście ciągle siedzieć”)

Do obiadu nakrywają, wszyscy dobry humor mają,
kartofelki i sznycelki, będą wcinać fest.

Raz z kościoła Franciszkanów poszliśmy piechotą na pielgrzymkę do Chodowic, coś 12 km. Zdziwiłem się, że daleko na wodzie (tak mi się zdawało) pływają ludzie, tylko im było widać głowy — powiedziałem sobie, że chyba się ja też nauczę pływać. Zdziwiłem się również, że na parkiecie (5 x 5 m) z desek, ludzie duszą się w tłoku.

c.d.n.



Widok „nad „sztreki” na Kleparów

Wspomnienia z „Dziennika lekcyjnego” — tajnego nauczania w hołdzie Prof. Irenie Lewickiej

EWA DANEK



Prof. Irena Lewicka

Lwów — lata 1942-46, grupa młodzieży uczestniczyła w tajnym nauczaniu pod kierunkiem przeznaczonej Pani Prof. Ireny Lewickiej i Gro-na Pedagogicznego. Świadomość chwili, potrzeby, wprost konieczności pracy z młodzieżą, zapal do pracy i uśmiech Pani Profesor porwały nas — wyrostków — w wir pracy trudnej i niebezpiecznej. Dzieleni na grupy lub pojedynczo, zbieraliśmy się na lekcje w różnych punktach miasta w oznaczonych godzinach. Zamiast normalnych klas, ławek, tablic, pomocy naukowych, dzwonek, tercjana, wesołych zabaw podczas przerw lekcyjnych itp. los nam przeznaczył prywatne mieszkania, zaplecza magazynów, bez wszelakich akcesoriów szkolnych, choćby białej kredy, czy gąbki do tablicy.

Mieliśmy w zamian głęboką świadomość wagi tej szkoły, kształcącej naszą osobowość o szerokim programie dydaktycznym, chęć do nauki i niespożytą energię, oraz ...czy baliśmy się? Nie myśleliśmy o tym. To było jak zew, jak płomyk światła naszej przyszłości. Z aprobatą rodziców, również konspiratorów, odbywaliśmy wędrowki po mieście. Podczas wykładów, jak kto woli lekcji — ale to szkoła bez podręczników — uważaliśmy bardzo pilnie. Jedynie do łaciny służyły nam skrypty (opracowane przez p. prof. Mariana Lewickiego — brata p. Ireny). Niekiedy ratowały nas antykwariaty np. odpowiedziany przez nas przy ul. Stefana Batorego.

Lekcje były prowadzone według programu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Ośw. Publicznego przeznaczonego dla 4-letniego gimnazjum i 2 let. liceum typu humanistycznego i matem.-przr. Przerabialiśmy wszystkie przedmioty oprócz artystycznych. Ale i pod tym względem nie cofaliśmy się. Niektórzy z nas śpiewali w chórze kościelnym, w Sodalicii Mariańskiej, jak też brali udział w przedstawieniach scenicznych. Życie wymagało czegoś więcej, wykonywaliśmy na drutach skarpetki, rękawiczki, czapki, szaliki, nie zawsze dla siebie, a przede wszystkim dla potrzeb konspiracyjnych (dla potrzebujących w więzieniach, lub ukrywających się), „bibułę” też trzeba było dostarczyć. O tym koledzy opowiedzieliby więcej.

Systematycznie sprawdzano nasze postępy w nauce i znajomość przeczytanych lektur obszernego wykazu. Egzaminy zdawaliśmy pomyślnie. Uczestnictwo w tajnym nauczaniu nie pozwoliłoby nam na braki w wiadomościach.

Niemal co dzień przeżywaliśmy aresztowania, wywózki bliższych czy dalszych osób.

Gdy była to głowa rodziny, do domu wkładał się niedostatek, potęgując tę tragedię. Wtedy nie było mowy o stworzeniu ciepła, ogniska domowego; pragnęliśmy radości, zabaw, a wciągnęliśmy się w działanie ludzi dojrzałych. Nauczyliśmy się wykorzystywać każdą pozorną ciszę. Po nalotach i łapaniach w pamiętnych latach głodu 1942 wędrowaliśmy na wieś z wymianą, czasem cennych rzeczy na żywność. Zmieniali się okupanci, nasza czujność się zaostrzała. W grupach zachodziły przetasowania, również i nas nie ominęło nieszczęście. Wiadomością druzgoczącą było, że p. prof. Helena Pelczarska — dyrektorka tajnego nauczania — została aresztowana (ps. Kuba). Za polskość, za umiłowanie Ojczyzny i Lwowa, za kultywowanie wiekowej tradycji przodków, zapłaciła wielką cenę, po aresztowaniu zsyłkę w głąb Rosji (opr. „Lwów-Donbas 1945” Marii Kulczyńskiej).

Po latach wiele spraw się zaciera, ale z całą stanowczością możemy powiedzieć, że to była szkoła patriotyzmu i wielka próba charakteru. Wierzyliśmy, że Ta, którą się podzielono, zajęto we wrześniu 1939 r. — nie zginęła, wróci, bo wrócić musiała. Taką wiarą byliśmy przepełnieni, budowała ją w naszych sercach Pani Prof. Irena. Przy Niej zdobyliśmy dorosłość, zrozumienie zadań i coraz bardziej, mocniej kochaliśmy Lwów.

W imieniu klasy

Ewa

Epizod z konspiracyjnej pracy Prof. Ireny Lewickiej

Było to we Lwowie, w czasie okupacji hitlerowskiej w 1943 r., gdzieś w okolicy ul. Zyblikiewicza, kiedy zatrzymał Ją patrol niemieckiej żandarmerii. Śpieszyła się bardzo, bo godzina policyjna tuż, tuż, a do domu przy ul. Piaskowej 2 jeszcze kawał drogi.

Myśli jej jednak koncentrowały się w okół siatki do zakupów, w której prócz podręcznej torebki, niósła zakupioną w ciągu dnia jarzynę, zeszyty z wypracowaniami swoich uczniów z tajnych kompletów do poprawy i oceny oraz owinięty w gazetę plik podziemnej prasy.

To właśnie przez te biuletyny podziemnej prasy zatrzymała się dłużej w jednym z zakonspirowanych mieszkań, gdzie jako polonistka prowadziła lekcję, po zakończeniu której ocze-

kiwała jeszcze na spóźnialskiego łącznika A.K. — dostawcy tychże biuletynów.

Teraz, stojąc przed trzema „drysblasami” w olbrzymich hełmach i z charakterystycznymi blachami zawieszonymi na piersiach, czuła jak serce ciśnie się Jej do gardła, lecz rozum rozkazywał zachowanie pozorów spokoju a nade wszystko opanowania drżenia głosu i rąk.

Łamaną niemiecką tłumaczyła, że zabawiła nieco dłużej u chorej cioci i że tramwaje nie kursują regularnie. Na słowa „Ausweis bitte”, sięgnęła ręką do siatki, skąd wyjęła torebkę, prosząc jednocześnie stojącego obok żandarma o potrzymanie siatki. Usłużny Niemiec przejął uchwyty siatki, Ona natomiast grzebiąc w torebce wyjęła z niej dowód i podała go kontrolującemu. Widać, że Ausweis ten był szczególnie, bo wzbudził u niego zainteresowanie, a może nawet i uznanie, gdyż rzucając okiem raz na Nią, raz na Ausweis, z lekkim uśmiechem podał go swemu koledze, a ten z kolei następnemu. Dowiedzieli się z niego, że Irena Lewicka, córka Jarosława i Felicji ur. 15 III 1905 r. we Lwowie, pracuje w Instytucie profesora R. Weigla do badań nad durem plamistym w charakterze karmicielki wszy.

W owym czasie był to chyba jeden z najlepszych Ausweisów jaki mógł chronić przed zatrzymaniem, gdyż praca w tymże Instytucie dla potrzeb frontowych żołnierzy u których szerzył się tyfus, była szczególnie honorowana.

Tak więc, epilog tego zdarzenia był szczęśliwy. Żandarmi oddali p. prof. Lewickiej Ausweis oraz siatkę z jakże obciążającymi Ją dowodami, zasalutowali i odeszli, pouczając wcześniej o konieczności przestrzegania godzin policyjnej. Gdyby jednak zainteresowali się zawartością siatki, nie trudno byłoby również dociec, że Ausweis, aczkolwiek z oryginalnymi pieczętkami, był fałszywy, a wtedy...?

Na podstawie osobistych wspomnień prof. Ireny Lewickiej podał

Władysław Menko

TAK SIĘ TO ZACZEŁO

JADWIGA KALUSCHA

Pewnego październikowego wieczoru w 1977 r. zatelefonował do mnie mój brat Staszek Magiera i mówił: „Jaga — weź ostatni Przekrój, znajdź ogłoszenie mówiące o organizowanym zjeździe byłych uczniów prof. Ireny Lewickiej z tajnego nauczania we Lwowie. Podane są dwa nazwiska pp. Heleny Mędrak we Wrocławiu i Anny Pycowej w Krakowie. Zorientuj się co i jak, zgłoś mnie i daj znać”. „Tak jest” — powiedziałam i tak się zaczęło. Oczywiście złapałam natychmiast Przekrój i zaraz zadzwoniłam do Helci. Helcia właśnie smażyła „sznycle”, więc rozmowa była krótka — umówiliśmy się na następny dzień. Dowiedziałam się, że właściwie spotkanie organizuje „Kraków” ale itd. itp. i ani się obejrzałam, a już byłam wciągnięta w wir prac organizacyjnych. Zjazd miał się odbyć w Niepokalanowie w klasztorze, a ściślej w Domu Pielgrzyma OO Franciszkanów w dniach 5-6 XI 1977 r.

Po paru dniach zostałam zaproszona na spotkanie w większym gronie lwowskim w osobach m.in.: Helcia-szefowa, Roma Kurbiszowa, Marysia Daniewska, Maruna Derka-

czowa, Ewa Danek, Wojtek Prugar, Jacek Strożecki, Władek Skorny, Mańciu Wróblewicz. Na stole pojawiły się gołąbki — dzieło Romy, które nota bene, zniknęły ze stołu migiem, było wino czerwone, było wspomnianie, była nauka „śpiewanek lwowskich” przy akompaniamencie gitary, z której Jacek wydobywał melodie jakże bliskie i kochane. I choć właściwie nikogo z obecnych poprzednio nie znałam, (Romę przełotnie) to od razu poczułam się swojsko i tak miło, jakbym całe życie z nimi wszystkimi przeżywała. Wspominam ten dzień ze wzruszeniem, bowiem nikogo ze Lwowa, właściwie wokół mnie nie było. Dziwne, ale prawdziwe. We Lwowie, na kompletach, uczyliśmy się w małych grupach (3-4 osobowych). Z mojej 4-osobowej grupy — 3 osoby mieszkają w Krakowie, natomiast mego brata znało kilka osób we Wrocławiu.

Zaczęły napływać zgłoszenia i pieniądze — słowa serdeczne i radosne, podniecenie rosło — „nasi” zgłaszali się z całej Polski: z Warszawy, z Krakowa, Katowic, Gliwic, Bytomia, Rzeszowa, Gdańska, Bielska, Poznania, Puław itd. Przygotowania szły całą

parą, pracy dużo — korespondencja, opracowanie programu, zebranie materiałów, zrobienie znaczków identyfikacyjnych. Każdy uczestnik wepnie sobie taki znaczek w klapę, czy też bluzkę — dziewczęta mają wypisane również nazwiska panieńskie, a wszystko po to, by się można było bez trudu odnaleźć czy przypominać, bowiem rydwan czasu musnął nas przecież swoimi skrzydłami — ale nasze wspomnienia są tak żywe, jakbyśmy jeszcze wczoraj byli razem we Lwowie i nic to, że jednemu włos na łepetynie srebrzeje, a drugiemu czoło zrobiło się tak wysokie, że dalej nic nie widać, że ten czy ta puchata się „czegus” zrobiła, że na buziach jakieś dziwne rzeczy czas wymalował „ale nic to, jak mawiał pan Wołodyjowski — w sercach i myślach młodzi jesteśmy, Lwowem, tamtymi dniami, upalnym latem i mroźną zimą, biciem dzwonów i zegarów z wież kościołów, Boże drogi, jak „cudni” one były. A na wiosnę czuło się woń bzów w Parku stryjskim, latem zaś zapach macierzanki na „sztrece”.

Ostatnie sprawy załatwione. Marian Bietkowski — architekt, wyrysował kartki z wieżami Lwowa, każdy z uczestników ją dostanie i znaczek metalowy z lwem (miał być lew, a zrobił się „lewek”), ale był. Serca nam stawały, gdy patrzył człowiek, czy na karkę, czy na „lewka”.

Dzisiaj to wydaje się już takie zwyczajne — ale wtedy? Gdy po długich poszukiwaniach dostałam wstążkę o barwach Lwowa,



Uczestnicy Zjazdu w Niepokalanowie

dosłownie skurczyło mi się serce. To tak, jak po wojnie, a właściwie w czasie wojny, zobaczyłam we Lwowie biało-czerwoną flagę, fakt, że trwało to bardzo krótko 2 czy 3 dni, ale wrażenie niesamowite.

Można by sobie zadać pytanie, dlaczego organizujemy zjazd teraz, a nie wcześniej, czy też później. Otóż koleżanki, które utrzymywały stały kontakt z p.prof. Lewicką skonstatowały, że zdrowie p. profesor jest w nienajlepszym stanie, a i wiek wskazuje na to, że jeżeli chcemy jej zrobić przyjemność, a o to głównie chodziło, to należy się raczej pośpieszyć. Była bowiem osobą niewątpliwie nieprzeciętną, tak z usposobienia, jak i w działaniu. Oddana bez reszty sprawie wychowania i kształcenia młodzieży wogóle, a w czasie wojny szczególnie, niepomna na niebezpieczeństwa jakie jej zagrażały. Uczyla nas języka polskiego i historii, przypominała stale o tym, że jesteśmy Polakami, dziećmi Lwowa, dziećmi kresów, że nasze korzenie są tam, w tej ziemi, która od wieków gromadzi w sobie krew przelaną w jej obronie. A my chłoniliśmy te słowa z powagą równą tej, z jaką przyjmowaliśmy te przesłania od naszych rodziców. Nasz zjazd miał być w jakimś stopniu ukłonem złożonym Jej przez nas.

Nadszedł dzień wyjazdu, obławowani, a to obrazy o treści lwowskiej, dla dekoracji pomieszczeń, gdzie będziemy się gromadzić, a to jakieś jedzonko, a to koniaczek, a to szmatki itp. Oczywiście nie obyło się bez niespodzianek różnego autoramentu, ale aby je opisać trzeba by wydać specjalny numer „Semper Fidelis”, więc się raczej opanuję

Teoretycznie, wszystkie organizacyjne sprawy, jak: spanie i „hamcianie” — a „hamcianie” było szczególnie ważne — bo wiem chodziło tu o kolację, miała być urządzona z niecodziennymi daniami w stosunku do wiktusów klasztoru, tymczasem okazało się w ostatniej chwili, że z takiej kolacji nici. „Koniec świata” — ale Helcia krótko i węzłowo wieczorem w czasie spotkania z ojcem, czy też bratem franciszkaninem od tych spraw, który nam komunikował tę złą nowinę, powiedziała do mnie: „Jadziu — jutro rano jedziesz do miasta i kupisz to i owo”. Włos mi się zjeżył na głowie, łapię powietrze i błyskawicznie myślę jak szukać ratunku. Na szczęście Staszek Dustanowski przyjechał na zjazd służbową Nysą i zaoferował swoje usługi. Pomknęliśmy do CDT, Staszek poszedł do dyrektora, nie wiem, jakich użył argumentów, faktem jest, że zostaliśmy znakomicie obsłużeni od góry do dołu dosłownie, bowiem zakupy zaczęłam na górze a skończyłam na dole w piwnicach, gdzie kupowałam jarzyny. Jedziemy zatem do Niepokalanowa, zaopa-

trzeni jak na owe czasy bogato. Były z nami jeszcze 2 lub 3 osoby. Pamiętam, że Roma koniecznie musiała sobie kupić kwiat do sukni. Czytaliśmy na głos drżącymi od trzęsawki szosowej głosami dialogi Szczepka i Tońka, które Staszek w Krakowie zdobył, następnie powiełał i w ten sposób pełni szczęścia, nie wierząc własnym oczom i uszom chłoniliśmy ten cudny, najcudowniejszy bałak. Dobijamy do celu, rozładujemy się, jesteśmy zmęczeni i głodni. Pora obiadowa — „Kiedy to się zrobi” myślałam i oczywiście zaczynam się martwić, ale od czego dziewczęta lwowskie, a poza tym co to dla młodzieży? Wchodzę do jadalni — dużo nas — myślę z radością patrząc na frygające obiadowe towarzystwo, jak na razie nikogo poza wrocławską grupą nie rozpoznaję i nagle słyszę okrzyk „Jezus Maria — Jadzia” — tak mnie powitał Janusz Starczewski z mojej lwowskiej czwórki. Nie mogłam pojąć skąd ten dramatyczny okrzyk. Padliśmy sobie w ramiona, po czym Janusz powiedział, że jeszcze we Lwowie dotarła do niego wieść, że „drugich bolszewików”, że nie żyję, że mnie Niemcy wykończyli, tyle, że nie wiadomo jak i gdzie, ale zostałam uśmiercona, w związku z czym za moją duszę odprowadzono Mszę św. Patrzę na Janusza ciepło, utkwiała mi w pamięci jego cera, brzoskwinowa z meszkiem delikatnym na policzkach. Ładne chłopaczysko — wciąż mi mówił, że by nie miał kto zabić, nie wiem, czy też nie pamiętam dlaczego. Zresztą, on też nie pamięta. Zjawia się Ewa Łowczyńska, następna z naszej czwórki. Brakuje Mariana Kłapowskiego. Nie przyjechał, napisał, że brak mu motywacji do przyjazdu. Ewa, jak za tamtych lat z rozwiązłym, ślicznym, złotorudym włosiem, głośno mówiła, kochana dziewczyna. Co się dalej działo, na byczej skórze by nie opisać. Ciągłe się ktoś z kimś ścisnął, całował, śmiał i płakał. Absolutny koniec świata. Lwowskie serca oszalały — Lwów się czuło, o czuło. Gdy już wszyscy doszli do siebie, łącznie z panią profesor, która była bez przerwy oblegana, zaczęły się przygotowania do wieczery. Dziewczęta tuż po obiedzie zajęły się wiktuałami, teraz przy pomocy chłopców nakrywały stoły. Młodzieńskie zakonnice tam pracujące patrzyły na nasze poczynania nieco oszołomione, ale ponieważ wszystko odbywało się bez zakłóceń, przeto uśmiechając się przychylnie, usiłowały nam pomóc.

Sala świadczyła swoim wyglądem o tym, że chwilowo pojawił się Lwów tutaj, bowiem tu i ówdzie z obrazów pędzla Ireny Acedańskiej wyzierały mury katedry, kościół OO Bernardynów, z „przodu” przypominał o sobie, jak i dachy i wieże Lwowa widziane z Wysokiego Zamku tworzyły rozległą panoramę Lwowa. Na stołach kwiaty otulone niebiesko-czerwoną wstążką.

Zbieramy się przy wejściu na salę — za chwilę nastąpi wielkie entree. Dwóch kolegów sprowadza panią Profesor ze schodów. Tworzymy szpaler. Stoję z Romą, która mówi krztusząc się ze śmiechu: „Ty si popatrz na naszych kolegów, co się z nimi porobiło” — Romciu — odpowiadam „Ty si popatrz na nas”. Ale oto już są, schodzą, elegancką starszą panią z jednej strony prowadzi wysoki Władku Skorny, a z drugiej Zygmunt Szmigula — nieco niższy. Wchodzimy na salę. Pani Profesor zajmuje naczelne miejsce przy stole, obok niej prof. Eligia Westfalewicz, z drugiej strony Nusiek Hajduk — też profesor — dalej Ojciec Prowincjał. Helcia wita panią Profesor, w dalszym porządku, co się komu należy, wreszcie nas. Robi to z sercem i wdziękiem, jak zwykle. Przy „wydumanej” tablicy staje dyżurny Janusz Horzowski — po sztubacku wyciera tablicę i podaje pani Profesor „dziennik”. Zaczyna się sprawdzanie obecności. Każde z nas po kolei wywołane zdawało raport z lat 1945-1977. Jedni mówili o sobie długo i zawile, czasem ze łzami, inni — krótko, zwięźle — wszyscy bardzo poruszeni.

Zabrała głos pani Profesor — mówiła do nas, jak kiedyś — przypominała kim jesteśmy, do czego jesteśmy zobowiązani bez względu na okoliczności, przypominała skąd nasz ród, gdzie nasze korzenie, mówiła o Polsce wolnej i niepodległej, niespełnanej komunizmem, z którym mamy obowiązek walczyć zawsze i wszędzie, na ile nas stać. Wzruszenie ścisła gardło, wzrok mąci łza, zaduma ogarnia, szarpie tęsknota za naszym miastem, jakże bliskim, a jednocześnie obcym, w którym obcy ludzie mówiący obcym językiem, deptają nasze ulice, żyją i umierają w naszych domach, grzebani są na naszych cmentarzach... A my w obcej stronie... Za co? Dlaczego? Zrobiło się cichutko.

Ale życie ma swoje prawa — kieliszek koniaku poprawia nastrój, gwar wypełnia salę — Maruna Derkacz czyta z wdziękiem wiersze o lwowskich zegarach, o parku Stryjskim. Miasto jawi się nieomal przed nami, czując zapach bzów, słyszymy wybijanie godzin...

Zaczynają się tańce, muzyczka teraz „szpila” z magnetofonu upojne tanga i wdzięczne walce, fokstroty. Panie w długich sukniach, panowie wizytowo. Miło, ładnie, elegancko, jak dobrze znowu być razem jak dawniej we Lwowie. Długo w noc trwały jeszcze nocne lwowiaków rozmowy, jakże niezapomniane. Na drugi dzień, po uroczystej porannej mszy o pogańskiej godzinie, bo o 7-mej i śniadaniu, zwiedzaliśmy klasztor i kościół, byliśmy w celi św. Maksymiliana Kolbe, o którym mówił nam jeden z Ojców Franciszkanów, w tym również o lwowskim okresie Świętego Męczennika. Zrobiło to na nas

duże wrażenie. Po powrocie Władziu Riedl prezentował nam Lwów na przeźroczach ze swojej niedawnej bytności w naszym nieście. Była to swoista wędrówka po Lwowie, która stała się przedmiotem „pacałysznych” sprzeczek. Jawiły się bowiem różnice dotyczące nazw ulic oglądanych na ekranie np. jeden mówił, że to ul. Listopada, inni, że Wiśniowieckich, no i wojna święta trwała, można było umrzeć ze śmiechu, oczywiście to chłopcy wiedli prym w tych sporach — trudno było sobie nawzajem wytłumaczyć, bowiem nie mieliśmy planu miasta, dziś mamy wszyscy, wtedy cokolwiek dotyczyło

ra”, wymienialiśmy między sobą adresy, a trwało to dosyć długo. Czas pożegnania nadchodzi — żegnaliśmy wszystkich spoza Wrocławia z „naszej wiary”. Smutno się zrobiło.

Kończymy rozliczenia finansowe z przeżyłym ojcem (nie pamiętam imienia) i żegnaj Niepokalanowie. Doznaliśmy tu wspaniałych przeżyć, odmłodnieliśmy, no i obiecałyśmy z Helcią, że zorganizujemy następny zjazd — tłumnie nagabywane o to. Wracamy do Wrocławia, szara rzeczywistość trochę przygniata, ale mamy siebie i

pyszne. Pokazaliśmy im Wrocław i to fachowo, bo przez naszego przewodnika, która tak interesująco mówiła o mieście, że i my tubylcy słuchaliśmy uważnie. Żal wielki, że to nie Lwów pokazujemy krakowianom. Następuje pora na następny zjazd — „wiara” bardzo naciska i listownie i telefonicznie i ustnie. Szukamy miejsca na spotkanie gdzieś bliżej — jeździmy po „zahumaniach”, tu nie, tam nie, wreszcie wybór pada na Bardo Śląskie. U SS Urszulanek — na łagodnym zboczu góry, klasztor wśród lasów stoi. Oczywiście tylko pod bożym dachem możemy się Lwowem zachłystnąć.



Jadzia Kaluscha

Lwowa wyrywano sobie z rąk. Aż się wierzyć nie chce. Zapamiętałam w tych sporach usytuowanie ulicy M.B. Śnieżnej — dwóch kolegów wysuwało swoje racje coraz głośniej i z coraz szybszą gestykulacją. Przysłuchiwał się temu stojący obok Jurek Kopacz, z politowaniem na twarzy, w końcu głosem zdecydowanym autorytatywnie wyjaśnił kolegom gdzie przebiega wspomniana ulica i z jakimi ulicami się łączy. Szkoda, że państwo tego nie widzieli i nie słyszeli.

Niedługo się rozstajemy, po obiedzie Helcia ogłasza konkurs: p.Irena Acedańska przekazała nam obraz z widokiem Lwowa — każdy łasy, by go dostać, podniecenie, uwaga, losowanie i oto obraz dostał się Mańkowi Bietkowskiemu, który go, nota bene, przywiózł od tak bardzo lwowskiej malarki. Każdy z uczestników, jak wspominałam, otrzymał pamiątkowe drobiazgi m.in. „dziennik lekcyjny”, była to karta kredytowa papieru z nazwiskami 48 uczestników i miejscem na wpisanie adresu itp. Po wyciszeniu emocji związanych z konkursem, rozmawiając ze sobą przy wtórce piosenek np. „Kto si z naszymi wiary śmieje, naj go nagle krew zaleje”, czy też „Mówci co chcesz ni ma na świeci, joj, jak sercy batia-

spotykamy się często na pierogach. Na hasło „pierogi” wszyscy mają czas, a jest nas na tych pierogach przeciętnie 12 osób.

Na ogół „zbiórka harcerska”, jak mówi Helcia jest u niej, a ja pierogi robię w domu i taszczę się z nimi, albo robię u Helci, a trzeba ich zrobić, nie chwając się, ponad 200 (nigdy nie liczę) i nic nie zostaje. Frygają jak szaleni — próbowaliśmy spotykać się przy gołąbkach, ale nic z tego, nie ten klimat.

Utrzymujemy kontakty z ferajną krakowską, jedziemy do nich do Krakowa, gdzie przyjeżdżamy po królewsku, kochani są wszyscy, Hania Pycowa, Hania Serwanowa, Ewa Łowczyńska, Marysia i Krzysiu Westfalewiczowie, Januszowie: Starczewski i Horzewski — cała „hebra” oczekiwała nas na dworcu z kwiatami, a my z magnetofonem, z którego płyną słowa, że „Tylku we Lwowie” biegniemy roześmiani przez peron i rzucałyśmy się sobie w objęcia. Ludzie patrzą jak na wariatów, ale to nic — Kraków w tę noc jest nasz.

Przyjechała ferajna krakowska do nas — wspaniale bardzo liczne przyjeżdża u Maruny, przeszło czterysta pierogów, poza innymi smakowitościami poszły mięgiem, takie

Uruchamiam „biuro zjazdowe” termin 11-12. 10. 1980. O roku ów! Pamiętny roku! Odurzeni wygraną marzymy, że może stanie się cud i do Lwowa wrócimy. Wielu z nas działało w „Solidarności”, żyjemy nadzieją.

Lwów pojawił się w Bardzie jakiś cichszy — bo i miejsca mniej i nas „czegoś” mniej.

Pani Profesor przywiozła ze 100 metrów wiejskiej kielbasy „cudni czosnyczkiem pachnącej”, żeby zgłodziła wiarę nakarmić, jako że „termina na jadło przyszły kiepskie”, a siostrzyczki wychodziły ze skóry, by nam dogodzić. „Hamcianie” przeto było pyszności wielkiej. Takich wspaniałych grzybków ze śmietaną, przez siostrzyczki świtkiem rankiem zbieranych dawno nie jadłam, a takie wydawałam okrzyki na cześć tej potrawy, że siostrzyczka furt mi dokładała, a ja frygałam, że mało nie „penkłam”.

W Bardzie pojawił się w naszym gronie „cudny chłopaczysku lwowski” Tolu Szolginia, autor licznych wierszy pełnych uśmiechu przez łzy i tęsknoty za naszym miastem. Jego „bałak” brzmi śpiewem lwowskiej ulicy, zamykasz oczy słuchając... i jesteś we Lwowie. A oto parę słów jego autorstwa. „...Bałakaju czasym, że marzyciel ze mnie oraz mentekaptus, pomyłona głowa, co si uszukuji, łudzi nadaremnie, że kiedyś si uda powrócić do Lwowa...”

Zaprosiliśmy niedawno poznanego Rysia Jaworskiego, młodszej generacji, zdążył się tylko urodzić we Lwowie, ale bardzo lwowsko aktywny, aż serce rosło, że my ostatnimi ze lwowiaków nie będziemy, ale w krótko odszedł od nas na zawsze.

Z Gdańska przyjechał Mieciu Filipczak — pokazał nam swoje zbiory, odznaki, pamiątki Obrońców Lwowa i Kresów z lat 1918-1944. Interesujące to rzeczy, a jednocześnie bardzo smutne, czyżby na darmo walczyli i ginęli ci mali i dorośli żołnierze?

Długo w noc słuchały góry i lasy bardzkie śpiewów niesfornych lwowiaków, przy gitarze, na której „szpilał” Zdzisław Ojrzyski. A noc była długa. I to było Bardo.

c.d.n.

Tym artykułem rozpoczynamy cykl wspomnień zatytułowanych

WYPĘDZENI



JANUSZ RAGANKIEWICZ

Długo się zastanawiałem i układałem sobie w głowie opis tego dnia, który zapamiętałem na całe życie, dnia naszego wyjazdu z domu. Rano wraz z rodzicami zapakowaliśmy naszą pościel i pobiegłem jeszcze po chleby na drogę. Mama w termosy zrobiła herbatę, natomiast tata zamykał wszystkie skrzynie. Trochę to było podobne do zabijania wiek przy trumnach, bo też i nastrój był pogrzebowy. Skrzyń było jedenaście, a dwunasta to zamknięta na potężną klódkę kufer zawierający jedzenie na drogę, prymus i podręczne naczynia, a z boku w kieszeni pieniądze oraz dokumenty, a raczej jeden dokument, a mianowicie „kartę ewakuacyjną” zawierającą wszystkie dane o nas i o naszej „pozostawionej dobrowolnie” parceli z dwoma domami. Około dziesiątej przyjechał samochód ciężarowy marki ZiS-5 z kilku żołnierzami, którzy bardzo sprawnie na naszych (jeszcze) taczkach dotransportowali skrzynie do stojącego na chodniku przed bramą samochodu. Wsiadliśmy na skrzynię ładunkową samochodu, tata, ja i żołnierze, natomiast mamę kierowcę poprosił do kabiny. Jechaliśmy najkrótszą drogą, prawie że pokrywającą się z trasą „jedynki”; ulicami: Łyczakowską, Czarnieckiego, Podwale, Ruską, przez Rynek, Plac Kapitulny, ulicą Kilińską, przez Wały Hetmańskie i w górę ulicą Sykstuską do Leona Sapiehy. W prawo tą ulicą do Gródeckiej i za chwilę znowu w prawo w aleję Focha, by po objechaniu Placu Wilsona, wjechać na dworzec Czerniowiecki. Pojechaliśmy do grupy ludzi, którzy się już wcześniej wyładowali i uzyskaliśmy informację od kierownika transportu, który wg. listy ustalił numer naszego wagonu (19). Tata licząc się z tym, że możemy sobie poczekać na podstawienie wagonów, po ułożeniu skrzyń wziął od mamy kilka „szóstaków” na tramwaj i poszedł. Wrócił po trzech godzinach kompletnie załamany, nie odezwał się do nas ani słowem, po raz pierwszy i ostatni widziałem płaczącego Ojca. Zrozumiał, że oto przychodzi mu opuścić rodzinne miasto, w którym przeżył ponad 47 lat o które trzykrotnie walczył.

Całą noc przesiedzieliśmy na skrzyniach, obok inni palili ogniska. Ciche rozmowy, płacz zasypiających dzieci, a w dali odgłosy dochodzące z miasta, podzwanianie tramwajów, zgrzyt ich kół trących o szyny na pętli przed dworcem lub na zakrętach przy Gródeckiej czy Placu Bilczewskiego, mieszały się ze stukotem przejeżdżających pociągów na niedalekim Dworcu Głównym. W nocy nadciągnęła już jesienna mgła, zasnuwając wszystko i wszystkich swym welonem. Ja, okryty przez mamę kocykiem, zasypiałem, budziłem się i znowu

zasypiałem, nie wiedząc czy to sen czy jawa. Na wschodzie jakby pojaśniało, brzask zwiastował zbliżanie się świtu, a z nim nowego dnia, który według zapewnień kierownika transportu, miał być ostatnim dniem naszego pobytu we Lwowie, gdyż o trzeciej po południu miały być podstawione wagony, do których mieliśmy się ładować. Po śniadaniu tata jeszcze raz sprawdził, czy którakolwiek ze skrzyń nie uległa uszkodzeniu podczas transportu, mama przeprowadziła „inspekcję” zawartości naszego kuferka i na tym skończyły się logiczne czynności, a pozostało szukanie sobie jakiejś roboty, lub bezmyślne oczekiwanie na to, co miało nastąpić. Oboje rodzice wybrali to pierwsze, natomiast ja poszedłem popatrzeć trochę na ludzi z którymi „los” przeznaczył nam jechać na wspólną poniewierkę. Słońce rozpędziło nocno-poranne mgły, oświeciło to ludzkie zbiorowisko, zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień. Nikt ze zgromadzonych tutaj nie oddał się do miasta, gdyż jak nosła plotka, wagony miały być podstawione w każdej chwili. Rozpoczęły się natomiast odwiedziny tych, którzy narazie pozostawali we Lwowie: byli to krewni, powinowaci, sąsiedzi i znajomi tych tutaj koczujących. Ciche rozmowy, ponowne płacze, utyskiwania na „sobaczy los” i płynące ze szczerzego serca życzenia dla naszych „wyzwolicieleń”, które gdyby w 10 procentach dobry Bóg spełnił, to tereny zamieszkałe przez ludność sowiecką kompletnie by się wyludniły.

Koło południa kierownik transportu potwierdził wcześniej podany termin podstawienia wagonów, więc wszyscy zabrali się do gotowania obiadów, ostatniego posiłku we Lwowie. Mama ugotowała makaron, okrasila gulaszem z konserwy „unrowskiej”, do tego kwasony ogórek i po kilka śliwek na deser. Tata jeszcze poszedł po wodę, by nasz zapas na drogę pozostał nienaruszony. Nagle gruchnął, jak wystrzał z armaty, okrzyk: „idą wagony!” Powoli wtaczały się jednocześnie dwa sznury wagonów, po obu torach okalających rampę, brudne i ponure „węglarki”, a więc okryte. Zatrzymały się i ...nikt się nie ruszył, wszyscy stali oniemieli, porażeni świadomością, że to już, że dopełniła się miara goryczy, że nie ma już odwołania, że zerwała się cieniunienka nitka nadziei.

Wreszcie tłum zafalował, słychać było uderzenia młotków czy siekier, którymi pomagano sobie w otwieraniu zasuw drzwi, skrzypnęły dziesiątki zawiasów i ukazały się w pełnej krasie wnętrza wagonów, którymi mieliśmy wyjechać, tfu, którymi miano nas wywieźć. Nasz wagon oznaczony „19” wypisaną kredą na drzwiach, zatrzymał się na wprost nas. Rozpoczął się załadunek, wszyscy sobie nawzajem

nagle zaczęli pomagać, widocznie nieszczęście ludzi zbliża. Nie wiedząc jak podróż będzie długo trwała, każda rodzina mościła sobie legowisko, ale nikt nie pomyślał, co będzie, gdy zacznie padać? My swoje deski i blachy mieliśmy ze sobą, ale inni? Tata więc nie wytrzymał i głośno rzucił propozycję sklecenia jakiegoś nawet najprymitywniejszego zadania, znalazło się zaraz kilku chętnych, którzy jakby tylko czekali, aby ktokolwiek przejął inicjatywę i pokierował robotą. Gdzieś zaraz pobiegli i przystawiali kilkanaście długich blach. Z blach i płacht, przygotowali mężczyźni porządną daszek, tak, że i nawet silny deszcz nie był nam straszny. Tylko na samym środku, było wolne miejsce o wymiarach metr na metr, trochę by było jasno, trochę abyśmy mieli którądy wdrapywać się na dach. Wagon miał otwarte drzwi tylko z lewej strony, prawe były naглуcho zamknięte i od środka zadrukowane przed złodziejami. Zaraz też zgodnie z poleceniem kierownika transportu wybrano „starostę” wagonu, którym jedynym okrzyknięto „ta tego belfra z Łyczakowskiej”, czyli tatę. Został przygotowany grafik dyżurów przy otwartych drzwiach (całodobowy), ustalono hasło na noc, gdyż były podobno wypadki, że podczas postoju transportów nocą wchodziłi do wagonów złodzieje, okradali ludzi z pieniędzy i korzystając z ciemności wymykali się cichcem. Pomimo, że wszyscy byliśmy już załadowani i gotowi do jazdy, transport wyruszył dopiero nazajutrz o świcie, a była to jak dobrze pamiętam środa. Dlaczego staliśmy całą noc, nie wiem, podobno chodziło o nasze bezpieczeństwo, gdyż pociągi były obrzucane kamieniami itp. przez Ukraińców stojących na mostach, pod którymi przejeżdżały transporty z Polakami. Pociąg ruszył i w momencie gdy ludzie zrozumieli, że transport naprawdę jedzie, rozległ się jeden wielki płacz, szloch i skowyt. To jakby naraz wszystkim coś żywcem wyrwano z ciała, zadawano ból nie do opisanego, zabierano brutalnie to co najukochańsze i najdroższe. Mężczyźni stali przy otwartych drzwiach wagonu, twarze mieli blade, zęby tak zaciśnięte, że aż im mięśnie wystąpiły, patrzyli na przesuwanie się obok stojące wagony, na jakies zabudowania kolejowe majaczące we mgle, ciągle zwróceni w lewo, gdzie pozostawało ich miasto. Ktoś w wagonie zaintonował pieśń „Kto się w opiekę...” z innego wagonu dolatywały słowa i melodia „Serdeczna Matko”, z jeszcze innego „Pod Twoją obronę...”. Gdy w naszym wagonie pieśni kościelne umilkły, tata zaintonował „Marsz lwowskich dzieci”, ale jakoś nikt nie podchwycił tej melodii, śpiewał więc ją sam, wszystkie pięć zwrotek, a gdy doszedł do końca refrenu po ostatniej zwrotce, wszyscy w wagonie z płaczem powtórzyli za tatą słowa: „moży uda si, ży powrócy zdrów i zabaczy miasto Lwów!”

A pociąg nasz nie jechał szybko, może 30 kilometrów na godzinę, widocznie nikomu się nie śpieszyło, a może marszruta transportu tak była ustalona? Na stacjach nie zatrzymywaliśmy się, zmniejszając szybkość pociąg przejeżdżał przez liczne rozjazdy, mijał stojących na peronach dyżurnych ruchu, przy szlabanach stojących droźników i coraz to bardziej od-

liliśmy się od Lwowa. Wszyscy smutni, mężczyźni otepiali, kobiety modliły się, tylko dzieci nie zdawały sobie sprawy z tego, co już straciły i co jeszcze ich czeka. Za Sądową Wisznią pociąg nasz zatrzymał się na ostatnim bocznym torze, kierownik transportu poprzez starostów (starsi wagonowi) zapowiedział postój do godziny trzeciej po południu, gdyż o piątą musimy być na granicy, gdzie rozpocznie się odprawa paszportowa (paszportów nikt nie miał, gdyż odbierano je przy wydawaniu karty ewakuacyjnej) i celna (sprawdzać mieli, czy nie wywozimy czegośkolwiek zakazanego). Po obiedzie (odgrzany na prymusie makaron) i herbacie (z termosą) punktualnie ruszamy, by faktycznie na piątą „zakatulać” się na granicę. Stanęliśmy w gołym polu i zaczęła się odprawa. Kilkunastu wojskowych, ichnia straż graniczna z ciemno-zielonymi denkami czapek, NKWD-owcy, którzy dla odmiany mieli czapki z błękitnymi denkami i malinowymi otokami, kilku cywili w kaszkietach z charakterystycznie zadartymi daszkami, to ci co nas mają „odprawiać” do Polski. Przedstawiciele polskiej strony nie zauważyłem, a jedyny co pyskował za dziesięć, to nasz kierownik transportu. Zaraz znalazły się pisane na maszynie listy obecnych-wyjeżdżających, z podziałem na każdy wagon, zawierające wszystkie dane personalne, włącznie z dotychczasowym miejscem pracy i adresem zamieszkania. Zaczęto wagon po wagonie sprawdzać, a polegało to na tym, że według listy wyczytywano nazwiska, trzeba było wyjść z wagonu (do pokonania 1,5 metra w dół), głowa rodziny okazywała kartę ewakuacyjną, którą porównywali ze swoimi listami, a gdy już wszyscy z wagonu wyszli, kilku z nich wraz z kierownikiem transportu i starszym wagonu wchodziło do wagonu, gdzie buszowali po zakamarkach pomiędzy skrzyniami, szukając widocznie tych, którym marzyła się ucieczka ze sowieckiego „raju”. Odprawa czterdziestu dwóch wagonów trwała przez całą noc, aż do godziny 10-tej rano. Tak więc dopiero o 11-tej przejechaliśmy granicę, wjeżdżając do Polski. Tutaj nikt niczego nie sprawdzał, nikt nas nie witał. Pociąg zatrzymał się w Przemysłu na torach dworca towarowego. Postój trwał ponad trzy godziny i właśnie podczas postoju dowiedzieliśmy się dokąd nas wiozą. Stacją końcową miał być Karb-Bobrek, niedaleko Bytomia. Kolejno mijamy Przeworsk, Rzeszów, Dębicę, Tarnów, Brzesko, Bochnię, Kraków, „nocujemy” na stacji Jęzor-Nędza. Zaraz powstał dowcip, że z jednej nędzy, przyjechaliśmy do drugiej. Ludzie powoli godzą się z przeznaczeniem, snują plany, rozważają gdzie jechać, czy dalej na Dolny Śląsk, czy raczej zatrzymać się zaraz za dawną granicą. Ta ostatnia koncepcja przeważa, tym bardziej, że każdy w skrytości ducha wierzył, że przyjechał tutaj tymczasowo, że niedługo powróci do Lwowa, więc nie warto było zapuszczać się zbyt daleko, najodpowiedniejszy może być Bytom lub Zabrze i Gliwice. Jest tu, a raczej był do 1939 roku, dobrze rozwinięty przemysł, więc zapewne każdy znajdzie pracę. A gdy tylko dobry Bóg pozwoli, to się skrzyknijemy i hajda z powrotem do Lwowa.

Pomalutku nasz pociąg przejechał przez Mysłowice, Katowice i o godzinie trzeciej po południu dotarliśmy do „naszej” stacji końcowej. Dalej transport nie jechał. Był to wcześniej wspomniany Karb-Bobrek, stacja towarowa na północ od Bytomia. Dano nam trzy godziny na wyładowanie się, z tym, że nie było tu żadnych ramp, ot gołe tory i wszystko. Gdzie kto mógł i jak mógł, ścigał ten swój cały dobytek, ponownie układano te skrzynie w coś przypominające jamę borsuka.

Ludzie nas otaczający jakby się trochę otrząsnęli z przygnębienia, które im towarzyszyło od wyjazdu ze Lwowa, do czego w dużej mierze przyczyniły się odwiedziny lwowiaków, już mieszkających w Bytomiu. Zaczęły się więc zawiązywać nowe znajomości, wspólne układanie planów na przyszłość, pomoc w znalezieniu dachu nad głową i jakieś pracy. Do nas nikt nie przyszedł, więc siedzieliśmy przed naszym „domkiem” i jak wynikało z rzadko rzucanych słów, rodzice widzieli przyszłość w bardzo ciemnych barwach. Pierwsza noc spędzona na torach przebiegła spokojnie, tylko było bardzo chłodno, ale i nie dziwnego, wszak był to koniec września.

Od rana rozpoczął się ruch, wczoraj zawarte znajomości zaowocowały w postaci nadjeżdżających samochodów i platform konnych, zaczęło się więc noszenie skrzyń, ładowanie, pożegnania i do wieczora kilkadziesiąt rodzin „wyprowadziło” się z torowisk. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, siedziałem więc na desce, która wraz z kilkoma ceglami tworzyła ławeczkę. Ciągle mi się zdawało, że to zły sen, że zaraz się obudzę u nas na Łyczakowie, pójdę do kuchni napić się czarnej kawy zbożowej z niebieskiej rynki i położę się aby spać dalej. Tutaj nawet powietrze było inne, zalaatywało mięliśmy zapachem, a słońce ledwie się przebiło przez tą dymną zawiesinę, zwaną tutaj powietrzem. Rano, po umyciu się i naturalnie po śniadaniu, poszliśmy z mamą do kościoła na mszę św., natomiast tata został pilnować naszego „majątku”. Doszliśmy do kościoła, którym okazał się mały baraczek, ale i tu ludzie, ich pieśni, ich strój, były mi obce. Po mszy św. gdy usłyszałem ich mowę, te „wdycki, kaj, sam, tukej” i setka innych niezrozumiałych mi określeń. Nie wiedziałem dostownie, czy jestem w Polsce, czy też w innym kraju. Dopiero mama wytłumaczyła mi, że jest to „śląska mowa”, że słowa są staropolskie, od wieków niezmiennie. Wróciliśmy do naszego „grajdołka” i pierwsze co się nam rzuciło w oczy, to siedzący bez ruchu, wpatrzony w nikąd, tata. W ogóle od tej niedzieli tata bardzo się zmienił, prawie wcale się do nas nie odzywał, przesiadywał całymi godzinami na wspomnianej deseczko-ławeczce i jakby cały otaczający go świat przestał dlań istnieć.

Mijały dni, robiło się coraz chłodniej, codziennie ubywało dużo rodzin, które znajdowały sobie pracę i dach nad głową, a my siedzieliśmy. Tata już nie odzywał się wogóle, nie chciał jeść, nogi od kolan w dół spuchły mu jak banie, niczym się nie zajmował, nic go nie interesowało. Na koniec zostaliśmy na torach

tylko my i w odległości od nas około 200 metrów, samotne starsze małżeństwo, którzy oczekiwali na synów, aby się gdzieś osiedlić. Wreszcie tata wyruszył w poszukiwania. Wrócił bardzo ożywiony. Opowiadał, że dojechał do Katowic, odnalazł Kuratorium Oświaty, spotkał kupę koleżków, oni wychodzili na każdy przyjeżdżający ze Lwowa transport, właśnie po tatę, że ktoś podał mylnie datę naszego wyjazdu ze Lwowa, a tym samym i przejazdu przez Katowice, że wybrał Zabrze jako miejsce pracy, że proponowali mu kierownictwo szkoły, ale wyraził zgodę tylko na zastępcę kierownika, że będzie uczył w „1” przy ul. 3-go Maja, że jutro jedzie do Zabrze, do PUR-u o przydział mieszkania i o samochód do przewiezienia nas i naszych skrzyń. Mama aprobując pokiwała głową, stwierdziła, że zawsze wierzyła w niego i jego zaradność (tu do mnie dyskretnie mrugnęła okiem). Długo tego wieczora nie mogliśmy zasnąć, wszak byliśmy „ostatnimi Mohikanami” na tych torach, wspomniane starsze małżeństwo doczekało się poprzedniego dnia przyjazdu trzech synów, wojskowych, którzy przy pomocy kilku żołnierzy „galopem” zapakowali bagaże rodziców, jak i ich sąsiadów na samochód, odjeżdżając w stronę Bytomia. Nasi współtowarzysze niedoli i ponieważ byli tak szczęśliwi, że ich synowie żyją i po nich przyjechali, że w tej radości zupełnie zapomnieli o pożegnaniu się z nami.

Przyjechaliśmy do Zabrze na ulicę 3-go Maja. Po lewej stronie, przy kościele św. Anny była plebania, natomiast po prawej, przy ulicy, stał dom parafialny, zamieniony na dom noclegowy PUR dla przesiedleńców ze wschodu, jak to się wtedy ładnie mówiło. Skrzynie nasze zostały wniesione do jednej z piwnic, której drzwi zamknięto na potężną kłódkę, a klucz wręczono mnie. Przeszliśmy do sali widowiskowej, która szafkami ubraniowymi została podzielona na trzy lub cztery łóżkowe sypialnie, natomiast środek sali zajmowały ustawione w długi szereg stoły, przy nich taborety na których siedzieli podobni do nas „wywiezieni”. Jak wynikało z dalszych rozmów, to kolejne transporty ze Lwowa i okolice były rozładowywane w wielu mniejszych miejscowościach województwa katowickiego, a w Zabrzu na stacji „Zabrze Północ” i Mikulczyce. Niektórzy z nich byli tu już dwa tygodnie, inni dopiero wczoraj przyjechali, myśmy się nie przyznawali, że „wietrzyliśmy się” przez dwa tygodnie na świeżym powietrzu. Mama poszła z tatą do piwnicy i przynieśli oboje naszą pościel ze Lwowa, wyjętą z jednej ze skrzyń. Po raz pierwszy od wyjazdu, spaliśmy pod dachem, wprawdzie na żelaznych łózkach (wojskowych) z siennikami, ale pod naszymi kołdrami, kładąc głowy na własnych poduszkach i to się przede wszystkim liczyło! Nazajutrz, a była to sobota, poszliśmy zobaczyć miasto w którym mamy narazie mieszkać, do czasu powrotu do Lwowa.

Jednak czas pokazał, że były to tylko nasze marzenia, a rodzice do końca swoich dni wierzyli, że wrócą do Lwowa.

(Fragment książki przygotowanej do druku).

Lwowskie sylwetki ... gen. Stanisław Maczek

KRZYSZTOF BULZACKI



Gen. Stanisław Maczek

W miasteczku Szczerzec pod Lwowem, 31 marca 1892 roku urodził się Stanisław Maczek. Jak wielu mieszkańców tej ziemi miał obce pochodzenie, jego dziadek był Kroatem. Do gimnazjum chodził w Drohobycz, następnie studiował polonistykę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego pod kierunkiem wybitnych polonistów profesorów Bruchnalskiego i Kallenbacha oraz sławnego filozofa, prof. Twardowskiego. Równocześnie wszedł w środowisko akademickie tętniące działalnością patriotyczną. W tym czasie odbył przeszkolenie wojskowe i pierwsze ćwiczenia w Związku Strzeleckim. Służbę w legionach Piłsudskiego uniemożliwiło mu powołanie do armii austriackiej.

W wojnie światowej walczył na froncie włoskim, w formacji wysokogórskiej, w pułku strzelców tyrolskich, dosłużył się stopnia porucznika. Zakończenie wojny 11 listopada 1918 roku zastało go wysoko w Alpach. Dochodziły tu wiadomości o zajęciu Lwowa przez Ukraińców. Austria rozsypywała się. Tego samego dnia zjechał na nartach do Trydentu i w cywilnym ubraniu, przez Wiedeń szybko dotarł do Krakowa. W Krakowie jeszcze nie organizowano odsieczy dla Lwowa, zaproponowano mu służbę w oddziale oficerskim pilnującym magazyny. Stanisławowi Maczkowi śpieszyło się do walczącego Lwowa, do „swojego” Lwowa, pragnął jak najszybciej bić się za ukochany Lwów, ale docierały tu wiadomości, że linia Przemyśl — Lwów była przecięta przez Ukraińców. Postanowił spróbować drogi do Lwowa od południa, przez Podkarpacie. 14 listopada w Krośnie stanął do raportu u dowódcy garnizonu, pułkownika Swobody i ... został dowódcą kompanii krośnieńskiej odsieczy dla Lwowa, w stopniu porucznika.

Był entuzjazm i zapał — brakowało umiejętności; wielu ochotników nie umiało ładować broni, ale byli też starzy żołnierze i oficerowie, głównie artylerzyści. 20 listopada wyruszyła odsiecz na zaimprovizowanym pociągu pancernym w kierunku na Chyrów i pierwszej nocy odniesiono zwycięstwo na stacji Ustrzyki Dolne, podczas spotkania dwu pociągów wjeżdżających na stację z dwu stron. Przy pomocy polskich kolejarzy Polacy byli szybsi i rozgromili Ukraińców. Po paru dniach został zdobyty węzeł kolejowy

Chyrów. Jednak „główne natarcie” rekruckiego batalionu na Felsztyn zaległo w ogniu artylerii ukraińskiej i cekaemów. Czego nie dokonał cały batalion 20 p.p. — rozkazano wykonać jednej kompanii krośniewskiej i udało się. Przez zaskoczenie i od tyłu, wzięto jeńców, 3 ckm oraz jedno działo 75 mm. Ale przez całą zimę walki toczyły się wokół Chyrowa, jedyna korzyść wynikała z odciążenia Lwowa przez wiązanie sił ukraińskich na szerszym terenie. W kwietniu 1919 roku objął „lotną kompanię” w 4 Dywizji Piechoty gen. Aleksandrowicza, do której zwerbował swoich żołnierzy wypróbowanych już w walce.

Zaczęły się realizować marzenia Stanisława Maczka zorganizowania jednostki posiadającej dużą siłę ogniową, zwiększoną szybkość ruchu, skracającą czas przetrwania jednostki w celu zachowania energii bojowej bez trudów marszowych. W ofensywie majowej 4 plutony strzeleckie na silnych wozach taboru, uzbrojone w karabiny, granaty ofensywne, ckm i moździerz ruszyły od Chyrowa na Drohobycz, (a na wieść o zajęciu Drohobycza, Borysław sam się oswobodził, przepędziwszy Ukraińców) i dalej przez Stryj, Kałusz, Stanisławów, Buczacze aż do Zbrucza, gdzie zakończyła się ofensywa. Stanisław Maczek został zweryfikowany w stopniu majora ze starszeństwem od 1 czerwca 1919 roku.

Na zimę 1919 — 20 zabrano czasowo Stanisława Maczka do Oddziału Operacyjnego Sztabu 2 Armii. Wojnę z bolszewikami 1920 roku rozpoczął bez własnego oddziału, pod Korcem nie udało mu się powstrzymać obcych żołnierzy, którzy w strachu przed Budionnym, „dali nogę”. Został sam w polu, ale lasy nad Horyniem były naszpikowane polskimi koloniami i po trzech nocach dotarł do Równego. Po tym doświadczeniu, zabiegał u gen. Iwaszkiewicza we Lwowie o własny oddział i otrzymał rozkaz organizacyjny. W Jarosławiu zorganizował z 400 ludzi batalion Strzelców. Już po kilku dniach został użyty w ubezpieczeniu lwowskiej dywizji piechoty, w rejonie Mostów Wielkich. Po pierwszej zwycięskiej potyczce z brygadą kozacką, został wcielony do pierwszej dywizji jazdy gen. Rommela, jako batalion szturmowy. Dowódca dywizji miał

zapewnić czas na reorganizację i przekazać ułanów, którzy stracili konie oraz wyposażenie w wozy, ale jeszcze tego dnia przyszedł rozkaz wymarszu na Waręż, aby zwięzać Budionnego i odciągnąć go z kierunku na Warszawę. Waręż został zdobyty i droga na tyły Budionnego otwarta. Rozkaz opuszczenia Waręża, niedopracowany w realizacji, spowodował utratę łączności batalionu z dywizją i utratę taborów. W Zamościu do batalionu przybywali byli żołnierze z „lotnej”, wzrastało uzbrojenie w ckm-y, moździerze, a nawet taczanki.

Jeszcze kilka akcji i zakończyła się wojna polsko-bolszewicka. Batalion szturmowy przyjął imię kpt. Maczka, tak głosiła urzędowa pieczęć oddziału. Po zakończeniu działań wojennych, po kilku miesiącach został rozwiązany, nie pasował do istniejących struktur wojskowo-organizacyjnych.

Od 1921 do 1923 roku Stanisław Maczek był dowódcą batalionu w 26 Pułku Piechoty we Lwowie. 1.VIII.1923 został mianowany podpułkownikiem Sztabu Generalnego i skierowany do Wyższej Szkoły Wojennej. Po jej ukończeniu w 1924 roku został szefem Ekspozytury Oddziału II Sztabu Generalnego we Lwowie, a od 1927 do 1928 roku był zastępcą dowódcy 76 Pułku Piechoty w Grodnie. W latach 1929-1934 był dowódcą 81 Pułku Piechoty. 1.I.1931 roku został mianowany pułkownikiem dyplomowanym Sztabu Generalnego. Od 1935 roku był zastępcą dowódcy 1 Dywizji Piechoty w Częstochowie. W październiku 1938 roku w uznaniu jego osiągnięć i zainteresowań otrzymuje dowództwo pierwszej w Polsce wielkiej jednostki motorowej — 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej. Gen. Stachiewicz uprzedzi go, że na ostatnich ćwiczeniach brygada „nie wykazała się”. Objął brygadę na Zaozlu, gdzie była w „akcji”. Brygada składała się z dwu pułków kawale-

rii, 24 pułku ułanów i 10 pułku strzelców konnych, przewożonych na samochodach ciężarowych, z dużą ilością motocykli oraz uzupełnieniami innych broni, dział, tankietek, czołgów 7 T.P. i artylerii motorowej, a wkrótce moździerzy 81 mm.

Do wybuchu wojny, do 1 września 1939 roku, Stanisław Maczek zdążył „zjeździć brygadę”, czyli dokończyć wykształcenia motorowego, zgrać w akcjach, zwiększyć siły, przez nacisk na wykształcenie elementarne. Brygada walczyła w dyspozycji Armii „Kraków”, gen. Szyllinga, na osłonie od strony Nowego Targu i Chabówki, przed silnym związkiem pancerno-motorowym. Głównym zadaniem było zatkanie wąwozów górskich i zatrzymanie nieprzyjaciela, aby nie wyszedł na tyły wojsk polskich, a szczególnie grupy operacyjnej gen. Boruty Spiechowicza, równie Lwowianina.

Z Armii „Kraków”, przebył całą drogę odwrotu przez Dunajec, Wisłokę, San. Od 12 do 17 września 1939 roku brygada przechodziła do obrony Lwowa w rejonie Żółkwi. Stanisław Maczek melduje się u dowódcy frontu południowego, gen. Sosnkowskiego. 15 września 1939 roku został mianowany generałem brygady.

Jeszcze kilka lokalnych sukcesów wojсковych w walce z Niemcami i w obliczu agresji sowieckiej został wydany rozkaz dla brygady do odstąpienia od Lwowa. Etapami kolejne rozkazy wyprowadziły brygadę na Węgry, ratując najlepiej wyćwiczony element Wojska Polskiego. Zakończyła się kampania wrześniowa. Z przygotowanymi, w pierwszej kolejności żołnierze brygady uciekli do Francji. Szczęśliwe okoliczności już w Stanisławowie pozwoliły na złączenie się rodziny gen. Maczka.

We Francji jako generał brygady został dowódcą obozu w Coetquidan, jednak w trosce o swoich żołnierzy uzyskał zgodę gen. Sikorskiego na zbieranie ich w całości w Painpont i Campeneac, tworząc ośrodek kawalerii i broni pancerniej. Francuzi nie sprzyjali tworzeniu tak kosztownego wojska polskiego. Dopiero w marcu 1940 roku dali kilka naście starych czołgów, strzelnicę czołgową, kilkanaście samochodów i motocykli i rozpoczęto przeszkalanie załóg czołgowych w nowym ośrodku w Orange-Bollne koło Avignon na południu Francji. Niestety nie można było się doprosić Francuzów o kilka ckm-ów, rkm-ów i dział polowych, czy przeciwpancernych.

Dopiero gdy ruszyła niemiecka ofensywa majowa, Francuzi zażądali polskiej dywizji pancerniej. Natychmiast, na alarm formowano polską dywizję lekką motorową, uzupełniając stany bojowe. Gdy 10 „brygada”

kawalerii już pancernej dotarła na front, sąsiadujące jednostki francuskie istniały tylko na papierze, front francuski załamał się i jedynie bezładne linie cofającej się piechoty utrudniały poruszanie się polskiej brygady. Po kilku na ogół szczęśliwych akcjach, w następstwie otoczenia przez Niemców, gen. Maczek podjął decyzję zniszczenia reszty sprzętu, podzielenia pozostałych 500 żołnierzy na grupki, po kilka osób i przedzierania się na południe do „francuskiej” Francji. Po pokonaniu licznych trudności żołnierze brygady dotarli przez Afrykę i Portugalię do Wielkiej Brytanii. Wojsko polskie było użyte na terenie obrony wybrzeża szkockiego od Aberdeen po Edynburg, skąd wynikało tworzenie wyłącznie piechoty.

Próbowano tu 10 brygadę kawalerii reorganizować w 2 brygadę strzelecką, pod dowództwem kawalerzysty gen. Rudolfa Dreszera. Gdy generał Maczek przybył do Londynu, natychmiast na dworcu kolejowym jego żołnierze przebrali go w czarną kurtkę skórzaną i beret pancerniaka.

Kiedy na wschodzie powstawało Ludowe Wojsko Polskie, było ono pozbawione fachowej kadry oficerów polskich, wyniszczonych przez Stalina, w Wielkiej Brytanii sytuacja była całkowicie odmienna, brakowało szeregowego żołnierza, a gdy się trafił strzelec, to był to strzelec z cenzusem. Ułatwiło to Stanisławowi Maczkowi przekonanie gen. Sikorskiego do tworzenia wojsk na wysokim poziomie wykształcenia. Miał też poparcie innego Lwowiaka, dowódcy I Korpusu Polskiego w Szkocji gen. Mariana Kukieła. Rozpoczęła się organizacja 10 brygady kawalerii pancerniej, również na pododcinku obrony wybrzeża od Montrose do Dundee. Anglicy mieli bardziej praktyczne podejście niż Francuzi, udostępnił Polakom ośrodek szkolenia czołgistów w Blairgowrie.

W oddziałach zawrzała praca wojskowa, a czas umilała ukochana, wesoła Lwowska Fala, Szczepko i Tońko, Wada Majewska, Mira Grelichowska, Wiktor Budzyński, Wieszczyk, Stroń, Rapacki, Bojczuk, Henio Hausman i kuzyn generała Staszek Czerny, zanim przeszedł na czołg. Gdy nadszedł dzień inwazji na kontynent, Polacy mieli swoją dywizję pancerną, wyposażoną przez Brytyjczyków w nowy sprzęt. Jak zbadała komisja gen. Zająca, dywizja była bardzo dobrze wyszkolona, ale była całkowicie pozbawiona uzupełnień, które później napływały z ochotników we Francji oraz spośród Ślązaków, jeńców z armii niemieckiej.

Komisja gen. Langnera podkreśliła podsztybił wiek i słaby stan fizyczny Polaków z Ameryki Łacińskiej w służbach zaopatrzenia, co mogło mieć zgubny wpływ na sprawność dywizji. Jednak w przyszłości, gdy

linie zaopatrzenia dywizji zaczęły się nadmiernie wydłużać, okazało się, że jak wielką wartość przedstawiali ci kierowcy z Brazylii i Argentyny.

W dniu 1 sierpnia 1944 roku dywizja w składzie 2 korpusu kanadyjskiego, rozpoczęła swój udział w inwazji na kontynent europejski, cały czas w natarciu. Dywizja odniosła wiele znaczących sukcesów w bitwie pod Falaise, gdzie zamknęła „worek” wojsk niemieckich we Francji, dalej w Belgii i w Holandii, w której położyła szczególne zasługi przy uratowaniu przed zniszczeniem Bredy.

W końcu lutego 1945 roku gen. Maczek został zaproszony ze szwadronem honorowym dywizji do Paryża, na uroczystość dekorowania francuskimi odznaczeniami, pod Łukiem Triumfalnym, kilkunastu żołnierzy dywizji. Wielkim wydarzeniem dla dywizji było wyzwolenie 17 kwietnia 1945 roku w Nederlangen i Oberlangen, (w Niemczech) obozu 1700 polskich kobiet, żołnierzy Armii Krajowej z Powstania Warszawskiego.

Gen. Simonds, dowódca korpusu kanadyjskiego, któremu podlegała 1 dywizja pancerna i u którego boku siedział gen. Maczek podczas kapitulacji gen. Ericha von Straubego, uhonorował zasługi dywizji powierzając gen. Maczkowi przyjęcie 4 maja 1945 roku kapitulacji Wilhelmshaven. 1.VI.1945 roku Stanisław Maczek został mianowany generałem dywizji, a już od maja 1945 roku dowodził I Korpusem. Od września do demobilizacji dowodził jednostkami Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii. Po wojnie mieszkając w Edynburgu generał nie brał czynnego udziału w życiu politycznym emigracji polskiej w Anglii. Przez wiele lat pełnił funkcję Kanclerza Kapituły Orderu Wirtuti Militari. O swej działalności w czasie wojny relacjonuje w wydanej książce „Od podwoju do czołga”. W 1993 r. gen. St. Maczek został odznaczony przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego. W międzyczasie, gdy dywizja generała Maczka otrzymała honorowe obywatelstwo miasta Bredy, podpisane przez 40.000 mieszkańców, agentura stalinowska w Warszawie „pozbawia” generała Maczka obywatelstwa polskiego.

Ze łzą w oku opowiada legendarny Tońko, jak był mianowany przez gen. Maczka podporucznikiem i generał odpiął ze swojej beretki gwiazdkę, którą przypiął do beretu Tońka. Pamiątka ta dostała się w spadku Jurkowi Janickiemu, jakby w nagrodę za to co zrobił dla naszego Lwowa.

Generał Maczek żył prawie 103 lata, umarł kilka dni przed wigilią Bożego Narodzenia 1994 roku.

Krzysztof Bulzacki

Z życia Towarzystwa

DLA POŻYTKU I PAMIĘCI

Streszczenie referatu wygłoszonego 3.12.1994 r. na Sympozjum poświęconym roli stowarzyszeń w obecnej dobie, zorganizowanego przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie, ul. Sławkowska 17

ANDRZEJ CHLIPALSKI

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

1. TMLiKPW powstało w l. 1988-89 w wyniku historycznych przemian w Polsce, stawiając sobie za cel wyeksponowanie przemilczanej od czasów II wojny problematyki Ziemi Wschodnich, na których pozostały dwa spośród czterech głównych historycznych ośrodków polskiej kultury, wiele set tysięcy Polaków, dokumenty wielowiekowej historii oraz kultury materialnej i duchowej. Pamięć o Ziemiach Wschodnich w czasie minionego niemal półwiecza była zawsze żywa, czego wyrazem były liczne w całej Polsce nieformalne kółka lwowian, wilnian czy wołyńian, imprezy i obchody organizowane przeważnie w kościołach.

2. TMLiKPW powstało w roku 1988 we Wrocławiu, tam ukonstytuował się Zarząd Główny. Towarzystwo liczy dziś ok. 80 oddziałów i ponad 70 tysięcy członków. Oddział Krakowski powstał w lutym 1989 r., zapisało się ok. 1500 członków, liczba osób faktycznie zainteresowanych wynosi rzędu 800. W ramach Oddziału zawiązały się kółka regionalne: stanisławowian, tarnopolan, stryjan i zaleszczykowian. Obszarem zainteresowania Towarzystwa jest Małopolska Wschodnia, tzn. województwa: lwowskie (ściślej jego odcięta, wschodnia część), stanisławowskie i tarnopolskie. Obszar ten łączy historyczna odrębność w stosunku do innych ziem zabranych, wynikająca z odmiennych losów dziejowych, od średniowiecza poczynając: Ziemia odzyskana przez Polskę Kazimierza Wielkiego a ślady kulturowe tego faktu decydują o jej obliczu po dziś dzień. W XIX w. Ziemia jest częścią Galicji — krajem znowu polskim, choć pod kuratelą Austrii, ze Lwowa przez Polaków zarządzanym.

3. Towarzystwo określiło sobie 3 główne zadania: dokumentowanie wszelkich aspektów polskiej historii Ziemi swego zainteresowania, kontakt z żyjącymi tam Polakami oraz popularyzacja jej problematyki w nowym społeczeństwie polskim. W ramach pierwszego z tych zadań, za ważne uznano stymulowanie opracowań historycznych i wspomnień, działania na rzecz ratowania zabytków architektury i sztuki, dokumentów, zbiorów i pamiątek, miejsc pamięci. Jako drogę do działania w tym zakresie przyjęto — poza ogólnym eksponowaniem problematyki (poprzez sesje, spotkania, wystawy, publikacje) — zgłaszanie inicjatyw i programów, współdziałanie z innymi organizacjami i instytucjami. W efekcie Towarzystwo

przypisuje sobie jakąś część zasługi za niezwykle szerokie zainteresowanie sfer naukowych (szczególnie w Krakowie) tematyką historyczno-kulturalną omawianego obszaru. Zbyt skromne natomiast wydają się dokonania w zakresie historii politycznej, ujętej z polskiego punktu widzenia, obciążone półwiekowymi zaniedbaniami i skrzywieniami okresu PRL.

4. W zakresie kontaktów z Polakami — po pierwszym okresie żywiołowych działań w kwestii ich charakteru i priorytetów, ustalono dwie główne platformy: 1) pomoc materialna i pozamaterialna, udzielana (możliwie sprawiedliwie) wszystkim wspólnotom polskim, skupionym wokół czynnych kościołów, w liczbie ok. 160, przez wszystkie oddziały Towarzystwa (tzw. sieć opieki), 2) kontakty organizacyjne, polegające na wsparciu organizacyjnym, materialnym i moralnym organizacji i instytucji polskich, działających w Małopolsce Wschodniej (Towarzystwo Kultury Polskiej, Federacja Org. Polskich, Gazeta Lwowska, Radio-Lwów, szkolnictwo, organizacje zawodowe). Po stronie RP Towarzystwo w skali ogólnopolskiej współdziała głównie ze „Wspólnotą Polską”, miejscami z Kościołem. W Krakowie szczególną aktywność wykazują: Uniwersytet Jagielloński, Centrum Młodzieży, PTG „Sokół”, pomocy udzielają Urzędy Miasta i Województwa.

5. Wymienione zadania nie mogłyby być realizowane, gdyby nie popularyzacja problematyki wschodniej, którą w Krakowie staramy się rozwijać szczególnie intensywnie. Temu celowi służą imprezy, kierowane do szerokich kręgów społeczeństwa, organizowane w całej RP przez oddziały Towarzystwa, bądź przez nie inspirowane. Należą tu: 1) spotkania, prelekcje, sesje, wystawy, 2) filmy w TV, audycje radiowe, 3) wydawanie czasopism własnych (ogólnych i środowiskowych) oraz udział w redagowaniu dodatków do gazet ogólnopolskich, 4) realizacja tablic pamiątkowych i pomników, nadawanie imion szkołom i ulicom, 5) kwesty, apele, listy do władz i osób.

Wyrazem popularyzacji omawianej tematyki był „Rok Lwowski” 1994, zorganizowany w Krakowie, z szeregiem wystaw, spotkań i sesji, a także koncertem utworów dedykowanych Lwowowi przez 7 wybitnych żyjących kompozytorów polskich o lwowskim rodowodzie.

Zebranie

sprawozdawczo-wyborcze
Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi
Lwowskiej we Lwowie

W dniu 4 marca br. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze TKPZL w wyniku którego delegaci dokonali wyboru nowego Samorządu Towarzystwa na następną 4-letnią kadencję. Zebranie miało miejsce w jednej z 2 sal wykładowych nowego gmachu Politechniki Lwowskiej przy ul. Karpińskie-go. Przyjęty w toku przygotowań do wyborów regulamin ustanowił, że wybór prezesa Towarzystwa odbędzie się w głosowaniu tajnym bezpośrednim, po którym on przedstawi swoją listę proponowanych kandydatów do Zarządu Głównego, na których będą głosować delegaci. Regulamin nie przewidywał podawania kandydatów do Zarządu z sali. Na stanowisko Prezesa TKPZL wystartowały trzy osoby (po uprzednim zebraniu wśród członków Towarzystwa co najmniej 60 podpisów popierających kandydata) — były prezes Stanisław Czerkas, Teresa Dutkiewicz oraz Bolesław Bitous.

Zebranie, w przebiegu którego padły obok b. pozytywnych ocen również krytyczne opinie oceniające działalność ustępującego Zarządu TKPZL, prowadziła sprawnie i taktownie p. Marta Markunina, dyrektor polskiej szkoły nr 10 we Lwowie. Najwięcej kontrowersji na początku zebrania wywołała sprawa pozbawienia głosu tych członków Towarzystwa, którzy nie zapłacili składek za 1994 rok (termin upływał 4 II br).

Po obliczeniu głosów, komisja wyborcza podała wyniki: p. St. Czerkas otrzymał 204 głosy, Teresa Dutkiewicz — 116 głosów, Bolesław Bitous — 9 głosów. Przegłosowano następnie propozycję, aby na pozostałych kandydatów do Zarządu TKPZL głosować na całą listę — nie indywidualnie. W głosowaniu jawnym, z listy przedstawionej przez Prezesa St. Czerkasa wszyscy kandydaci weszli do Zarządu. Są to: pp. K. Federowska, A. Sarawaka, E. Leusz, W. Ziemrybura, Z. Jarmilko, B. Sudomlak, Zb. Pakosz, J. Kot, D. Rybij, K. Dąbrowski, M. Markunina, Z. Szlechta, W. Łokietko.

Po wyborach nowy Zarząd oraz ks. kanclerz M. Buczek i goście, którzy przyjechali specjalnie na to zebranie z Polski (m.in. dyrektor Woj. Wyd. Kultury dr M. Olbromski z Przemysła, dyr. Oddziału Wspólnoty Polskiej p. M. Gąsowska z Krakowa, członkowie ZG TMLiKPW z Wrocławia i Oddziałów z Warszawy i Przemysła) na zaproszenie Konsula Generalnego RP we Lwowie T. Leonnika udali się do kawiarenki w hotelu „Dniestr” na miły, towarzyski wieczór.

Nowo wybranemu Zarządowi i Jego Prezesowi (to już będzie Jego 2-ga kadencja) Z.G. TMLiKPW życzy, by wysiłek w tej trudnej pracy społecznej i przyszła działalność stała się świadectwem solidarności, braterstwa i przyniosła integrację środowiska polskiego na Ziemi Lwowskiej. (inf.wł.)

Zjazd w Brzegu

W dniach 10-11 lutego br. w zabytkowym ratuszu miejskim w Brzegu n. Odrą odbył się już kolejny raz Ogólnopolski Zjazd Prezesów Oddziałów i Klubów TMLiKPW, którego głównym tematem obrad była sprawa odbudowy Cmentarza Orląt. Z uwagi na ważność problemu w Zjeździe brzeskim udział wzięli: Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa p. A. Przewoźnik oraz przedstawiciele Zespołu ds. Odbudowy Cmentarza Orląt z jego Przewodniczącym

prof. dr R. Brykowskim. Wśród zaproszonych gości był również rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Andrzej Wiszniewski. Wyczerpującą relację z przebiegu rozmów polsko-ukraińskich dotyczących warunków odbudowy cmentarza w świetle podpisanego 16 grudnia 1994 roku obustronnego protokołu, przedstawił zebrany p. A. Przewoźnik. Projekty techniczno-architektoniczne omawiali na Zjeździe członkowie Zespołu ds. Odbudowy Cmentarza Orląt, a sprawy ekonomiczno-organizacyjne przedstawił inż. J. Bobrowski, który jako dyrektor Energopolu wielokrotnie przyczynił się do ratowania Cmentarza Orląt. (inf. wł.)

Postęp prac na Cmentarzu Orląt

Lwowiakom oraz całemu środowisku kresowemu wielką radość sprawiła wiadomość, że dnia 16.XII.1994 r. doszło do podpisania z władzami samorządowymi Lwowa porozumienia ustalającego warunki odbudowy Cmentarza Orląt Lwowskich.

Zanim jednak wejdzie tam przedsiębiorstwo budowlane aby przywrócić wygląd cmentarza do stanu z 1939 roku, należałoby pokreślić ogrom prac przygotowawczych i porządkowych wykonanych rękoma Polaków mieszkających we Lwowie. Większość z nas wie, że od zeszłego roku działa Polskie Towarzystwo Opieki Nad Grobami Wojskowymi z Prezesem p. Eugeniuszem Cydzikiem. Im się należy słowa uznania za pracę wykonaną na Cmentarzu Orląt.

W okół odbudowy cmentarza narasta nowa historia, począwszy od inicjatora p. Józefa Bobrowskiego, byłego dyrektora Energopolu.

Ja chciałabym przedstawić moje spostrzeżenia z okresu ostatnich 10-ciu miesięcy. Byłam bowiem na cmentarzu w dniu 3.V.94 i teraz w dniu 3.III.95 r. W tym okresie stwierdziłam:

1. Z całego obszaru cmentarza został zebrany złom żelazny, z którego uformowano przy bramie olbrzymią hałdę, oczekującą na wywóz. Pozostałością po byłym przedsiębiorstwie ukraińskim był np. wrak autokaru, który został rozbity młotami i w częściach przeniesiony na hałdę. Następnie z dachu nad katakumbami ręcznie odsunięto olbrzymią cysternę że-

lazną i cały ten teren odgruzowano i oczyszczono.

2. Również młotami rozłupano uszkodzone płyty żelbetonowe, też pozostałość po dawnych gospodarzach. Kilka takich olbrzymich płyt czeka na wywiezienie z terenu cmentarza.

3. Rozebrano duży fabryczny komin.

4. Wszystkie cegły z rozbiórki komina i pierwszych katakumb zostały oczyszczone i ułożone w pryzmy oczekujące na wykorzystanie, np. na naprawę murów.

5. Na grobie, z którego zabrano zwłoki Nieznanego Żołnierza i złożono na pl. Józefa Piłsudskiego w Warszawie, została położona piękna srebrzysta płyta ze specjalnego stopu odpornego na korozję, z oryginalnym przedwojennym tekstem. Dar ten został ufundowany przez Oddział TMLiKPW w Tarnowie.

Należy podkreślić, że za tę olbrzymią pracę ludzie nie otrzymują wynagrodzenia. Jedynym ekwiwalentem za ich trud jest pomoc żywnościowa organizowana dla nich przez inż. Adama Lewickiego — Prezesa Oddziału Tarnowskiego. W sytuacji ciężkiego kryzysu ekonomicznego na Ukrainie, przewóz żywności gwarantuje ciągłość fizycznych, ciężkich prac porządkowych na cmentarzu. Jesteśmy przekonani, że wspólne działania polskich organizacji we Lwowie, a przede wszystkim sekcji Odbudowy Cmentarza przy Z.G. TKPZL, zwiększą jeszcze na wiosnę dynamikę prac na cmentarzu, czego im wszyscy gorąco życzymy.

Danuta Tabińska-Juhasz



TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH KLUB W KRYNICY

JERZY PIEC

Po wojennej zawierusze garstka mieszkańców Lwowa i Kresów osiedliła się w Krynicy. 11 marca 1989 r. powstał Krynicky Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, zarejestrowany w Zarządzie Głównym we Wrocławiu.

Na pierwsze spotkanie zorganizowane w sali katechetycznej naszego parafialnego kościoła przybyło 50 osób. Wybrano władze Klubu: prezesa, którym został pan **R. Janowicz**, wiceprezesa — pana **J. Pieca**, sekretarza — panią **D. Capińską** i skarbnika — pana **M. Rościszewskiego**. Przez pewien okres członkowie i sympatycy TML spotykali się w pomieszczeniach udostępnianych przez PTTK. Za tę przychylność są do dziś wdzięczni panu **S. Winterowi** i szefom PTTK. Obecnie zebrania odbywają się w

gościnnie użyczanym przez ks. **K. Markowicza** „Domu św. Józefa” przy parafii zdrojowej. Jego poprzednik, ks. **F. Kostrzewa**, także wspierał Towarzystwo — był jego kapłanem.

W naszym mieście jest 41 czynnie działających członków TML. Są to rodowici lwowiaci, mieszkańcy byłych Kresów i ... ich potomkowie, którym rodzice przekazali „miłość i pamięć do ziemi ojczystej”, a także nie zrzeszeni sympatycy.

W tak małej społeczności jak Krynica cele Towarzystwa Miłośników Lwowa są realizowane jako wspólne spotkania przy herbacie, rozmowy, wspomnienia, a odświętnie przy dzieleniu się opłatkiem czy święconym. Uroczyste spotkania kresowiaków są w Krynicy znane z miłej, rodzinnej atmosfery.

Miłośnicy Lwowa i Kresów są otwarci: na każdą imprezę lub spotkanie zapraszają gości. Jedną z większych uroczystości są obchody rocznicy obrony Lwowa.

W Towarzystwie działa sekcja historyczna pana **F. Kumora**, są rozprawdane książki i czasopisma: „Gazeta Lwowska” i „Semper Fidelis”.

Członkowie Krynicky Klubu czynnie włączają się do pomocy Polakom na Wschodzie. W 1993 roku w wyniku akcji „Wigilia na Wschodzie” przekazano wsparcie finansowe rodakom z miasta Stryj. W 1994 roku pomoc finansową do Kamieńca Podolskiego, parafii, w której pracował poprzednio ksiądz **Andrzej Pawlik** z Krynicy Dolnej.

Związki Krynicy ze Lwowem sięgają wieku XIX, kiedy wielu mieszkańców tego miasta przyjeżdżało do uzdrowiska na leczenie. Wśród nich byli pisarze, poeci i aktorzy teatru lwowskiego. Chcąc podkreślić te związki, 15.01.1990 r. Towarzystwo wyszło z propozycją, aby ówczesną ul. Waryńskiego przemianować na ul. Orłąt Lwowskich. Propozycja nie zyskała akceptacji.

Ponowimy ją.

Komunikat

Jury konkursu na wspomnienia lwowian, mieszkańców Kresów Południowo-Wschodnich oraz Wołynia zorganizowanego przez Oddział Stołeczny TMLiKPW wraz z redakcją „Rocznika Lwowskiego” — obradując w składzie: Artur Leinwand, Andrzej Mierzejewski i Janusz Wasylkowski (przewodniczący) po wnikliwym rozpatrzeniu 65 prac postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę w wys. 5 mln zł otrzymała Henryka Niemcowa z Warszawy za pracę „Gdy na Cytadeli kwitnęli moreli”,

dwie II-gie nagrody po 4 mln zł otrzymali:

— Tadeusz Krzyżewski z Krakowa za pracę „Humoristica leopolitana”,

— Michał Sobków z Wrocławia za pracę „Koropiec nad Dniestrem 1425-1992”,

7 wyróżnień po 2 mln zł otrzymali:

— Stanisław E. Bury (Warszawa) — powieść „Ranny lew w lesie”,

— Henryk Dąbkowski (Warszawa) — za 2 prace: „Między Lwą a Stwiżą” oraz „Rokitno Wołyńskie i strefa nadgraniczna”,

— Jan S. Dobrucki (Missisauga — Kanada) za „Wspomnienia”,

— Stanisław Klimpel (Warszawa) — za prace: „W dolinie Pełtwi” oraz „W dolinie Strwiąży”,

— Helena Pazyryzna (Warszawa) — Kalendarium lwowskie,

— Lucjan Wulecki (Lwów) — monografia „Kościół św. Antoniego we Lwowie”,

— Leon Żur (Giżycko) — „Wyprawa na Wołyń”,

Przyznano ponadto 17 wyróżnień honorowych. Otrzymali je:

— Edmund Bosakowski (Warszawa) — „Nie-dokończony pamiętnik”,

— Krzysztof Brożek (Katowice) — „Lekarze na wschodnich Kresach”,

— Mieczysław Chudziakiewicz (Wrocław) — „Jedno polskie życie”,

— Jan C. Dziedzic (Warszawa) — „Lwowski fragment większej całości”,

— Benedykt Gajewski (Sanok) — „Beresteczko”,

— Marian Garlicki (Warszawa) — „Alma Mater Leopoliensis”,

— Janina Stopyra-Gawrońska (Łódź) — „Bez dzieciństwa”,

— Ryszard Harajda (Zielona Góra) — „W Stanisławowie w czasach okupacji”,

— Emil Hlib (Legnica) — „Moje chodzenie po Lwowie”,

— Władysław Korcz (Zielona Góra) — „Dzieje Sambora”,

— Jerzy Kowalczyk (Kraków) — „Księga Pamiątkowa XI Liceum i Gimnazjum im. Śniadeckiego we Lwowie”,

— Edward Kwiatkowski (Lublin) — „Życiorys Wołyniaka”,

— Józef Nikosiewicz (Edynburg — Szkocja) — „Odpryski wspomnień”,

— Eugeniusz Różański (Wrocław) — „Na wołyńskich kresach”,

— Zbigniew Schneigert (Zakopane) — „Takie było życie pomieszanie”,

— Kazimierz Turzański (Wrocław) — „Bez-sensowne morderstwo”,

— Kazimierz Tadeusz Wątorski (Warszawa) — fragmenty wspomnień.

Jury podkreśla wyjątkowo wysoki poziom nie tylko ww. prac, kilka mniejszych prac zatwierdzono do druku w „Roczniku Lwowskim”, w zasadzie prawie wszystkie nagrodzone i wyróżnione wspomnienia i opracowania warte są publikacji książkowych.

Z wielkim żalem dowiedzieliśmy się, że autorka pracy, która otrzymała I nagrodę, zmarła w kilka miesięcy po nadesłaniu swojej pracy na konkurs. Wspomnienia zmarłego przed kilku laty prof. Wątorskiego nadesłała na konkurs jego córka.

Nagrody ufundowali: Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie, Fundacja Przyjaciół Lwowa, ZAIKS oraz Instytut Lwowski. Wszystkim sponsorom serdecznie dziękujemy. Przy okazji przepraszamy uczestników konkursu za znaczne przedłużenie terminu ogłoszenia wyników konkursu, wynikało ono z oczekiwania na ewentualne dotacje kilku sponsorów, którzy mimo wcześniejszych obietnic, z różnych powodów nie mogli się z nich wywiązać.

Lwowski teatr na wrocławskiej scenie

ZBIGNIEW UMAŃSKI

Różne kolejne losy przeżywał Polski Teatr Ludowy we Lwowie. Powstał w 1958 r. z inicjatywy emerytowanego nauczyciela polonistyki Piotra Józefa Hausvatera, wielkiego miłośnika polskiej literatury i teatru, poety i muzyka. Skupił on wokół siebie absolwentów lwowskich szkół polskich, z którymi kiedyś realizował szkolne przedstawienia. Po jego śmierci w 1966 r. kierownictwo artystyczne teatru objął Zbigniew Chrzanowski, absolwent moskiewskiej szkoły teatralnej.

Uzyskanie przez teatr w 1961 r. tytułu i statusu Teatru Ludowego umożli-

filarami Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie.

Są nimi do dziś i współtwórcami jego osiągnięć: ponad 50 premier, ok. 700 występów — głównie dla rodaków na ziemi lwowskiej i wileńskiej, a od kilku lat także w ojczyźnie, a nawet w Londynie. Mają na swym koncie „Balladynę”, „Zemstę”, „Żabusię”, „Wesele”, „Uciekła mi przepióreczka”, a także „Sen nocy letniej” W. Szekspira, „Ptaki” Arystofanesa, „Jubileusz” A. Czechowa, „Dumki moje” T. Szewczenki i „Przed sklepem jubilera” K. Wojtyły. Sięgają też po sztuki Różewicza, Mrożka, poezję Kochanowskiego, Mickiewicza i Norwida, wiersze Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Hemara i innych polskich poetów. Niektóre pozycje są również grane w wersjach językowych: rosyjskiej i ukraińskiej. Kilkunastoosobowy zespół tego teatru, który sam się nazwał „rodzinką” — tworzą aktorzy, będący w życiu prywatnym urzędnikami, inżynierami, rzemieślnikami, działaczami społecznymi, jak np. Zbigniew Jarmilko, wiceprezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, dysponujący pięknym głosem, który w „Szopce lwowskiej” występuje w roli batiara — kołędnika, śpiewa. Teatr polski, granie w nim — to ich pasja. Z. Chrzanowski i W. Bordiakow, jedyni profesjonalści w tym teatrze, nadają tej pasji artystyczny kształt i formę.

Za tę wieloletnią, niełatwą działalność, za krzewienie kultury polskiej na b. Kresach obaj zostali — podczas pobytu we Wrocławiu — uhonorowani przez Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. złotymi Odznakami TML, a zespół otrzymał od Fundacji „Semper Fidelis” wydawnictwa o tematyce kresowej.

Pół wieku czekali wrocławscy lwowiacy, których losy rzuciły po wojnie nad Odrę, na odwiedzinę lwowskich kołędników z tradycyjną szopką bożenarodzeniową. Doczekali się wreszcie w styczniu A.D. 1995. Co prawda nie

były to prawdziwe batiary z Łyczakowa, Zamarstynowa, czy Kleparowa, lecz tylko artyści — amatorzy Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, ale „balał”, kolędy i szopka były autentyczne, lwowskie. Także wzruszenie widzów, którzy tłumnie przyszedli na inscenizację „Szopka lwowska”. Czas cofnął się o pół wieku, ożyły wspomnienia z lat młodości...

Na scenie tonącej w srebrzystej poświacie zimowej, makieta śródmieścia Lwowa opasana murami obronnymi, która jest zarazem wielką szopką. Rozlegają się autentyczne dźwięki zegara z lwowskiego ratusza. Pojawiają się batiary z gwiazdą betlejemską „Wśród nocnej ciszy...”

W drugiej części „Szopki” goście znad Pełtwi zaprezentowali nadodrzańskim lwowiakom program poetycko-muzyczny, składający się z lwowskich tekstów wierszy Mariana Hemara, Henryka Zbierzchowskiego, Witolda Szolgini i fragmentów wodewilu „Precz larka z Pohulanki” W. Budzyńskiego. Śpiewali też znane i popularne piosenki lwowskie. M. in. „Jak zarobim 200 złotych, urządzimy wielki bal...”, którą spopularyzowali Szczepcio i Tońko. Widzowie podjęli melodię a także propozycję — zaśpiewali razem z wykonawcami i zebrali 10 mln. złotych na rzecz polskiego teatru we Lwowie. Obiecanego balu wprowadzić nie było, ale odbył się mini festiwal najpiękniejszych piosenek lwowskich w wykonaniu gości i widzów.

Trwałyby chyba do białego rana, gdyby artyści nie mieli biletów powrotnych na wieczorny pociąg do Lwowa. Tam żyją, pracują, grają polskie sztuki, deklamują polskie wiersze, śpiewają. Dla rodaków na b. Kresach, ale nie tylko.

Wrocławscy lwowiacy przyłączają się do gratulacji. Wdzięczni są także Klubowi TML „Leopolis” za zaproszenie PTL z „Szopką lwowską” do Wrocławia i zorganizowanie jego występu (Teatr Lalek bezpłatnie udostępnił salę widowiskową, Państwowa Szkoła Muzyczna im. Grażyny Bacewicz pożyczyla instrumenty), a Zarządowi Głównemu TMK i KPW — za finansowe wsparcie organizacji tej, jakże miłej sercu lwowiaków, imprezy. Oby częściej lwowscy artyści odwiedzali rodaków nad Odrą...



wiło mu normalną działalność. Do pamiętnego 1981 r., kiedy to brutalnie przerwano próby, a teatr omal nie został zlikwidowany przez ówczesne władze sowieckie. Zbigniew Chrzanowski musiał wyjechać ze Lwowa do Polski, grał w teatrach, (m. in. także we Wrocławiu). Oficjalnie mógł powrócić dopiero w 1988 r.

W międzyczasie teatr wznowił działalność, przywrócono mu nazwę „Polski”, a kierownictwo artystyczne objął Walery Bortiakow — scenograf, związany z nim od wielu lat. Rosjanin, wychowany od dzieciństwa we Lwowie, rozmiłowany w polskiej kulturze. Obaj ze Zbyszekiem Chrzanowskim stali się



Nasi Czytelnicy piszą

Stulecie lwowskiej osobowej kolei linowej

W numerze 1/24 Semper Fidelis, w artykule Zdzisława J. Zielińskiego pt. „Tramwaj za tramwajem”, znalazła się wiadomość, że „Ponoć przygotowano i kolej linową”. Nie tylko przygotowano, ale i ją zbudowano. Informacje o tej kolei, jednej z pierwszych na świecie, były podane w następujących publikacjach: w kwartalniku Historii Nauki i Techniki PAN nr 1/1968, w Internationale Seilbahn Rundschau (Wiedeń nr 4/1967), w Przeglądzie Kolejowym (nr 7/1994) i w Przeglądzie Technicznym (nr 14/1994), wszystkie autorstwa podpisanego.

Dodać muszę, że pierwsze wiadomości o niej miałem od rodziców jako pasażerów. Kolej była czynna od 2 lipca do 15 października 1884 r. Trasa, prawie pozioma, o długości 170m biegła bez podpór na wysokości maksymalnej nad terenem 15m. Stacja napędowa znajdowała się przy południowo-wschodnim Pawilonie Sztuki.

Dwie linie nośne i jedna napędna przebiegały nad sztucznymi ruinami zameczka, który stoi i dzisiaj. Po linach poruszały się wahadłowo dwa otwarte wagoniki o sześciu miejscach, z prędkością 1,3 m/s. Kolejkę wykonała Drezdeńska Fabryka Motorów Gazowych. Napędu dostarczyła „lokomobila naftowa o sile 8 KM”. Lokalizację kolejki mógł ustalić główny inżynier wystawy inż. Julian Łubieński lub przedstawiciel wykonawcy inż. Topolnicki. Jeszcze przed drugą wojną istniały resztki betonowego fundamentu stacji napędnej.

Ślady pisemne istnienia tej kolejki znajdują się w wydawnictwie „Przechadzka po Wystawie Krajowej w 1884 r.” i w „Przewodniku po Wystawie” dr. A. Zippera pt. „Führer durch die Allgemeine Landes Ausstellung” (oba w Bibliotece Ossolineum we Lwowie). Niestety, brak jest fotografii lub rysunków, ale można przedstawić ją sobie adaptując do lwowskich warunków zdjęcie identycznej wówczas zbudowanej we Włoszech (adaptacja zdjęcia prof. Artura Leinwalda).

Fakt budowy kolei linowej osobowej, będącej wówczas trzecią lub czwartą na świecie, jest jeszcze jednym dowodem pomysłowości i poziomu ówczesnych twórców Wystawy Krajowej we Lwowie.

Dr inż. Zbigniew Schneigert



Odżyły tradycje Lwowskie w Tarnobrzegu

W dniu 19 lutego o godzinie 12-tej w Kościele Matki Bożej Nieustającej Pomocy, proboszcz tej Parafii ksiądz Prałat Michał Józefczyk na prośbę Zarządu Wojewódzkiego TMLiKPW w Tarnobrzegu odprawił Mszę Św. o wyniesienie na ołtarze trzech księży lwowskich. Miasto Tarnobrzeg będące kiedyś ostoją zachodnią województwa lwowskiego postanowiło oddać hołd i cześć, prosząc Boga w Trójcy Jedynej o uznanie świętości czci godnych kapłanów z dawnej stolicy województwa.

Nasz wielbny proboszcz zawsze nam przyjazny ksiądz dziekan Michał Józefczyk odprawiając w tej intencji Mszę Św., którą celebrował za tych ŚP pasterzy w swej wspólnie homilii i w modlitwie wiernych przypomniał postaci o które lud wierny oraz członkowie TMLiKPW modlili się. Jak szeroko i pamiętliwie zostały wiernym przedstawione zmarłe sylwetki naszych dostojnych kapłanów z prośbą w modlitewnym skupieniu o beatyfikację. Nasz wspólny Proboszcz chronologicznie ukazał i nakreślił sługi Boże zasługujące wyniesienia na ołtarze.

Ksiądz Arcybiskup Józef Bilczewski działał w zaraniu naszej państwowości po latach niewoli, świadcząc duże zasługi dla swej Diecezji w szczególnym okresie I wojny światowej i walk o polskość Lwowa.

Następnie przedstawił wspaniałą postać Arcypasterza dwu Diecezji Lwowa i Krakowa Jego Ekscelencję księdza Eugeniusza Baziaka. Ten bohater-wygnaniec ze Lwowa, następnie pasterz Krakowa, jakże mężnie przedstawił się nawale i zniewalaniu nas przez drugiego okupanta komunistycznego Sowieci.

I na koniec przedstawiono nam wspaniałego zakonnika ojca Serafina Kaszubę, który całe swoje serce kapłańskie poświęcił ludowi Bożemu swojego ukochanego Lwowa. Za to serce, za tę pracę na rzecz swoich rodaków zapłacił zesłaniem do łagrów Sybiru. Gorąco wpatrzni w Patronkę Kościoła zebrani na Mszy Św. wraz ze swym ojcem Duchowym, księdzem proboszczem, modliliśmy się do Wszechmocnego, by proces zakończył się pomyślnie i niedługo, by świetlane postaci pokazały ludowi Bożemu nowych Świętych tak kochających Ojczyznę i Naród i tak oddanych słusznej sprawie.

Ryszard Borcz

Zwracam się z prośbą do uczestników Kampanii Wrześniowej, chcących pomóc amerykańskiemu historykowi p. Markowi Windsorowi w pracy nad historią początków II Wojny Światowej. 70 % tej książki będzie obejmować kampanię w Polsce. Autor ma nadzieję, że będzie to najbardziej szczegółowa praca dotycząca tego tematu w języku angielskim, pozwalająca w pełni zrozumieć o co walczyła wówczas Polska. Osoby chcące nawiązać współpracę proszone są o kontakt ze mną w celu wypełnienia odpowiedniego kwestionariusza.

Jerzy Kirszak
ul. Przyjaźni 57/17
53-030 Wrocław
tel. 608-720

Zbysław Popławski w artykule „Gimnazja na odłączonych ziemiach” wydrukowanym w „Semper Fidelis” 3, 1993, str. 11-15 apelował do czytelników o uzupełnienie luk. Wobec powyższego pozwalam sobie jedną pozycję sprostować i uzupełnić.

Na str. 13 autor wymienia Państwowe X Gimnazjum męskie im. Henryka Sienkiewicza. Właściwa jednak nazwa tego zakładu brzmi: X PAŃSTWOWE LICEUM I GIMNAZJUM im. HENRYKA SIENKIEWICZA we LWOWIE. Następnie autor wymienił tylko dyrektora Benona Janowskiego (1920-1930) z powodu braku dalszych danych. Otóż po Benonie Janowskim następnym dyrektorem był dr Fyda (1931-1939), który po wyjeździe do Polski — jak słyszałam — osiadł w Katowicach.

Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie uzyskałam 2-letnią praktykę w X Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, dyrektorem był dr Fyda. Odbytam tę praktykę w latach 1937/1938 oraz 1938/1939. Uczyłam historii w 1 klasie gimnazjalnej i 1 klasie licealnej.

Eugenia Triller

Zarząd Oddziału TMLiKPW w Bytomiu, w Jeleniej Górze i w Wałbrzychu składa gorące i serdeczne podziękowanie

Panu

Bogusławowi Seńczukowi z Wrocławia

za bezinteresowne przewożenie paczek z darami dla Polaków z okolic Lwowa.

Rzeszów, 4.01.1995 r.

Pan
Wojewoda Przemyski

My Polacy, pochodzący z kresów wschodnich II Rzeczypospolitej, włączonych do Ukrainy, wzywamy Pana Wojewodę do zajęcia jednoznacznego stanowiska w związku z wypadkami budowy pomników, jak też rozwojem działalności ukraińskich nacjonalistów i ich popleczników w kierunku wychwalania tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii, obchodzenia hucznie na terenie Przemysła i województwa uroczystości ku chwale OUN-UPA, z zabezpieczeniem tych imprez przez policję i służby miejskie.

Nie musimy jak inni sięgać do ksiąg historycznych, choć i te nie są nam obce. Sami na własnej skórze odczuliśmy skutki działania tej bezspornie antypolskiej organizacji jaką była UPA. Nie utożsamiamy tej organizacji z Ukraińcami w ogóle. Niektórzy z nas żyjących zawdzięczają właśnie Ukraińcom to, że jeszcze możemy złożyć ten protest. Żyliśmy bowiem z rodzinami ukraińskimi przez dziesiątki lat w zgodzie, nie dzieląc się nawet na Polaków i Ukraińców — nikt o tym nie myślał. Dopiero kiedy przyszła wojna, a z nią zbrodnie hitlerowskie, stalinowskie i najokrutniejsze jakie nas dotknęły — zbrodnie band UPA, zaistniał podział z częścią Ukraińców. Jednak nadal niektórzy z nich ostrzegali nas, ukrywali, a nawet pomagali w obronie przed bandami. Jesteśmy im za to wdzięczni i nigdy nie zapomnimy tej pomocy. Chcielibyśmy jak dawniej, bez jakichkolwiek urazów i pretensji, a nawet lepiej niż kiedyś, bo pamiętając pomoc jaką nam udzielali w ciężkich chwilach, współżyć z tym bratnim słowiańskim narodem.

I oto obserwujemy bardzo niebezpieczny ruch dawnych zbrodniarzy z szeregów UPA i pozyskiwanych przez nich popleczników, którzy poprzez zakłamywanie historii chcą zatrzeć piętno zbrodni, a nawet określać ówczesne swoje działania jako chwalebny ruch patriotyczny. Liczą oni na upływający czas, na zapomnienie, na brak świadków i dokumentów z tamtych czasów. Mają nadzieję, że uda im się stworzyć nowy mit o bohaterstwie i patriotyzmie tych, którzy najchętniej i najgorliwiej walczyli z kobietami, starcami i dziećmi, tych których metodą walki w większości były tortury dobierane tak wyrafinowanie, że metody komunistów sowieckich i hitlerowców razem wzięte, nie mogłyby się do nich równać.

Jak ocenić może poczynania „bohaterów z UPA” normalny człowiek, niezależnie jakiej narodowości, znając choćby niżej przedstawione autentyczne sceny z ich działań?

1. Jesienią 1943 r. nacjonaliści ukraińscy z UPA dokonali okrutnego mordu na polskich dzieciach.

W alei starych drzew, do każdego przybijano wokół małe dzieci, tworząc tzw. „wianuszeki”. Aleje te nazywali banderowcy „droga do samostijnej Ukrainy”. Działo się to we wsi Łozowa w pow. tarnopolskim.

2. 11 lipca 1943 r. we wsi Smołowa gm. Mikulice, pow. włodzimierski, nacjonaliści ukraińscy dokonali zbiorowego mordu na Po-

lakach. Pośród ofiar była rodzina Jana Wargackiego ... żonie w ciąży rozcięto brzuch, aby „pomóc urodzić proklatoh Lacha”. Ogółem zamordowano 19 osób.

3. 11 lipca 1943 r. we wsi Korytnica w pow. włodzimierskim, nacjonaliści ukraińscy zamordowali ks. Karola Barana z miejscowej parafii. Po zadaniu mu wielu ciosów nożem, przecięli w poprzek ciało w drewnianym korycie.

4. 14 lutego 1944 r. w okolicy Świrza pow. Przemyski, woj. tarnopolskie, w czasie powrotu z pogrzebu zamordowanego przez bandę UPA księdza polskiego, został pojmany w lesie ks. Stanisław Kwiatkowski, proboszcz ze Świrza. Po długotrwałym znęcaniu się nad nim: wyrwaniu paznokci, obcięciu języka, wydłubaniu oczu, został żywcem przecięty piłą.

5. W Paroślach po dokonaniu rzezi, mordercy urządzili sobie libację w domu sołtysa. Po odejściu oprawców wśród resztek jedzenia i butelek po samogonie znaleziono dziecko około 12. miesięczne, przybite bagnetem do stołu, a w usta dziecka włożony był niedojedzony kawałek kiszzonego ogórka.

To tylko nieliczne przykłady z wielu.

Niemal każda ofiara z kilkuset tysięcy pomordowanych Polaków i Żydów doznała z rąk UP-owców przed śmiercią wymusne i okrutne tortury.

Myśmy to przeżyli i często oglądali.

Od działań nacjonalistów ukraińskich odcinał się zdecydowanie prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk. W jednym ze swoich wystąpień powiedział: „...nie ukrywamy i nie przemilczamy. W czasie II wojny światowej ukraińscy nacjonaliści zabili około pół miliona Polaków na Kresach Wschodnich przedwrześniowej Polski. Również przez kilka lat po wojnie płonęły polskie wsie i ginęli ludzie”.

Skoro przywódca państwa ukraińskiego uznał za swój obowiązek potępić zbrodnie swoich rodaków, to tym bardziej możemy chyba liczyć na godną postawę przedstawicieli władzy lokalnej POLSKIEJ WŁADZY, na którego terenie mają miejsce obrażające uczucia Polaków wypadki.

Uważamy, że stawianie pomników jak i każde inne działanie w Polsce, mające na celu wysławianie zbrodniarzy z band UPA, powinno być niedopuszczalne i bezwzględnie zakazane.

Nie przyjmujemy do wiadomości w naszym odczuciu naiwnych wyjaśnień władz miejscowych, jakoby o wystawianych pomnikach nie wiedziały. Choćby pomnik w Hruszowicach, przyjechał do Polski z Ukrainy na dużym, odkrytym samochodzie. Jego rozmiary wykluczają możliwość przemytu. Podobnie budowanie innych pomników nie mogło ująć uwadze władz miejscowych.

W związku z powyższym domagamy się rozebrania wszystkich pomników, które na Pana terenie chwalą pamięć tych, którzy tak bezwzględnie niszczyli naród polski.

O ile nie dojdzie do tego, to podobne ekscesy będą się powtarzały nadal.

(kilkadziesiąt wyraźnych podpisów w posiadaniu Redakcji).

Szkoła im. Orląt Lwowskich

W miesiącu maju-czerwcu tego roku minie dokładnie pięćdziesiąt lat, kiedy to pierwsze rodziny Polaków, wypędzone ze swej ojczyzny — ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej, z województw lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego i wołyńskiego przybyły na Ziemię Odzyskaną. Przyjechali również do Namysłowa i chociaż nie byli tutaj pierwszymi przybyszami, w krótkim czasie stali się najliczniejszą grupą mieszkańców naszego miasta. Znaleźli tu swoją ojczyznę, dom, pracę.

Czwarte pokolenie naszych dziadów i ojców rozpoczęło swoje życie w naszym Namysłowie, który jest jakże innym miastem, niż Namysłów sprzed pięćdziesięciu lat.

Być może są tacy, którzy zapomnieli skąd się wywodzą i gdzie są ich korzenie. Zapewne dla wielu młodych ludzi jest to wspomnienie tak odległe, że aż nierealne.

Ale jest w Namysłowie grupa osób, która pragnie dać wyraz swego rodowodu. Nie ma bowiem w naszym mieście najskromniejszego wyznacza (choćby nazwy ulicy), który świadczyłby o tym, że od pięćdziesięciu lat, w wyniku przymusowej akcji przesiedleńczej Polacy z Kresów Rzeczypospolitej musieli zostawić swoje domostwa i udać się w nieznane. Jesteśmy członkami różnych organizacji kresowych oraz związków byłych żołnierzy czy więźniów, bądź też ofiar terroru hitlerowskiego czy sowieckiego oraz tych, którzy byli świadkami i doznali krzywd i okrutnych mordów ze strony zbrodniarzy spod znaku OUN-UPA — to jest ukraińskich szowinistów, dokonanych na niewinnej cywilnej ludności polskiej.

Po tym być może przydługim wstępie pragnę przedstawić Państwu oraz instytucjom i organizacjom, do których kieruję ten list, następującą propozycję:

Przy ulicy Reymonta w Namysłowie trwa remont budynku byłej bursy. Ma tam być szkoła podstawowa.

Proponuję, aby szkole tej nadać imię:

„Szkoła Imieniem Orląt Lwowskich”.

Kim byli Ci młodzi ludzie jest powszechnie wiadomo, jednakże niezbyt często wraca się do ich bohaterskich dokonań i bezprzykładnego patriotyzmu. Przybliżymy ich wizerunek i to co uczynili dla powstającego na nowo Państwa Polskiego, a zrobili tak dlatego, że byli Polakami wychowanymi w duchu patriotyzmu i miłości do Ojczyzny. Godzi się również przypomnieć, że Ci którzy ocalili, przybyli z dalekiego Lwowa na Śląsk Opolski, by walczyć w Powstaniach Śląskich. Gdzieś w Głogówku jest skromna tablica upamiętniająca ten fakt. Dla przedstawionej propozycji pragnę wraz z osobami oraz instytucjami, które tę propozycję popierają uzyskać akceptację i poparcie przede wszystkim grona namysłowskich pedagogów i wychowawców, władz miejskich i oświatowych, Kościoła oraz społeczeństwa namysłowskiego, które doświadczając licznych trudności codziennego życia, doceni patriotyczny akcent tej propozycji, bowiem naszej młodzieży są bardzo potrzebne dobre patriotyczne wzorce do naśladowania.

Kochani Lwowiacy!

Artykuł p. Jerzego Masiora z 22-go numeru „Semper Fidelis” pt. „Nazaret i okolice” wzbudził w moim sercu wiele wspomnień i wzruszeń. Nie wszystkie miłe i ciepłe, choć to był czas okrutny, pełen wzdrygnięć i poniżenia dla nas, jak też i zwykłej, wojennej biedy, ale był to czas mojej młodości — więc głęboko odcisnął się w mojej pamięci.

Ja, również jak p. Masior zostałam przeniesiona do innego gimnazjum przez sowieckie władze szkolne — tym razem do męskiego. Dlaczego — to już wyjaśnił autor „Nazaretu” — więc nie będę powtarzać, ale chcę opisać szkołę, w której się znalazłam, oraz zdarzenie, którego zapomnieć nie jestem w stanie. Było to słynne IV Gimnazjum im. Jana Długosza na tyłach Politechniki Lwowskiej, które widziało w swych sławnych murach wiele pokoleń Polaków, w tym b. wielu sławnych na cały kraj pisarzy jak: Jan Parandowski, Lem, Gerhardt i inni. Szkoła ta cieszyła się zasłużenie najlepszą opinią przed wojną. Wykładali w niej b. dobrzy nauczyciele (dr Kuchta, prof. Mejbbaum, p. Marlińska), poziom nauczania był bardzo wysoki, toteż niekażdy był do niej przyjęty. Samo gmaszysko jednak było bardzo stare, podłogi były ceglane, o parkietach nie było nawet mowy, a w klasach podłogę smarowano czarną pastą, najczarniejszą jaką widziałam w życiu — zarówno przed wojną jak i w czasie tej 1-szej sowieckiej okupacji.

Podobno za czasów austriackich był tam klasztor, co jest bardzo możliwe, gdyż korytarze były bardzo długie i ciemne, a całość raczej jakaś taka „gotycka”. Z początku więc, po miłych ciepłych klasach gimnazjum im. Juliusza Słowackiego czułam się tam obco. Ale nie to jest najważniejsze. Chcę tu opisać zdarzenie, które nigdy i nigdzie nie było opisane, a świadczy o dzikiej nienawiści bolszewików do wszystkiego co polskie i o niszczeniu naszych dóbr kulturalnych.

Otóż, była w tym szacownym przybytku wspaniała biblioteka. Zbiory były ogromne, gromadzone od niepamiętnych czasów i to w wielu językach: polskim, niemieckim, francuskim i po łacinie. Wszystkie wspaniałe oprawione i ozdobione, liczne posiadały okładki skórzane. I cóż się z nimi

stało? — Otóż to jest pointą mego listu, to cierni, który tkwi w moim sercu od tylu, tylu lat, pomimo tego, że i większe krzywdy zadano mojemu miastu i narodowi. Nigdzie tego nie publikowałam, ale wiercie mi — jest to święta prawda, to co opowiem. Raz jeden napisałam do jednego lwowskiego pisarza (M. Brzezickiego), ale za czasów komuny — więc nie nie odpowiedział. Chodzi o to, że ta wspaniała biblioteka została przez bolszewików po prostu spalona. A było to tak: Pewnego wiosennego dnia w 1941 roku, był to kwiecień lub maj, (raczej kwiecień, gdyż było dosyć chłodno), rozpalono na podwórzu szkolnym duże ognisko i książki zwyczajnie palono. Zanim opiszę ów swoisty „holokaust” muszę skreślić sylwetkę ówczesnego dyrektora, przyslanego z Kijowa lub skądś z Ukrainy — towarzysza Bunelika. Była to kreatura wyjątkowo niesympatyczna i odrażająca. Niski, chudy, okropnie ubrany (jak zresztą oni wszyscy), głębię miał tak mało inteligentną jak jakiś, powiedzmy kołchozowy pastuch. Pomimo, że we Lwowie można było kupić w owym czasie na pl. Krakowskim bardzo porządne ubranie za stosunkowo niską cenę (Lwowiacy wysprzedawali się) — on chodził w jakiś szerokich, opadających ciągle spodniach, które wiecznie podciągał. Nasi koledzy, znani z humoru „lwowskie dzieci” ułożyli w mig piosenkę: „Złóżcie chłopcy po rublowi — kupcie spodnie Bunelikowi” — dalej nie pamiętam. Od tej to figury korzystnie odbijał się zastępca dyrektora do spraw pedagogicznych ob. Switluch. Był to lwowski ukraińiec, elegancko zawsze ubrany w czarny garnitur, z białym goździkiem w butonierce, raczej nieszkodliwy, ale lubiący nadmiernie dziewczynki (to już zresztą inna historia). Całopalenie książek odbywało się pod osobistym nadzorem Bunelika. Nas pędzono poszczególnymi klasami na podwórze, gdzie piętrzyły się stosy ksiąg, uprzednio wyniesionych z biblioteki. Kazano nam zrywać z nich okładki, a zawartość wrzucać do ognia. Na co mogły się przydać te piękne, ale pozbawione treści okładki — tego nie wiem, dość że odkładano je. Książek polskich tam nie było, nie wiem co się z nimi stało. Może ocalały, a może też przed wkroczeniem Niemców do Lwowa w czerwcu, zniszczono je. My darliśmy książki niemieckie, łacińskie i w

innych językach. Przypomina mi się jeden fakt. Otóż koleżanka z mojej klasy, Żydówka z Wiednia, uciekinierka naraziła się bardzo tow. Bunelikowi. Muszę zaszczepić, że w tej naszej szkole z językiem wykładowym polskim, było bardzo dużo Żydów, uchodźców z całej Polski. Oni, mimo wielkiej sympatii dla komunizmu, nie chcieli się uczyć po ukraińsku, ani po rosyjsku chodzili do szkół polskich. W naszej klasie było ich 30, na ogólną ilość uczniów 40. A więc ta koleżanka, władająca lepiej językiem niemieckim niż polskim, postanowiła uratować kilka książek niemieckich. Były to 3 czy 4 tomy poezji Goethego i Schillera i schowała je do swojej teczki. Lecz nie udało jej się. Zauważył to Bunelik, krążący wśród nas jak sęp i poganiający do szybszej pracy. Dostało jej się za to. Wyzwał ją od złodziei, on, który był największym złodziejem, a ona musiała własnoręcznie wrzucić te książki do ognia. Jeszcze dziś widzę te płomienie wznoszące się w niebo i kłęby dymu z płonących kartek.... zastanawiam się tylko, czy działał on samorządnie, czy też otrzymał „przykaz” z góry. Raczej to drugie, gdyż wszystko tam u nich robiło się na rozkaz.

Proszę Was i błagam Kochani — zamieście ten opis w waszym piśmie. Jest on nieudolny — poprawcie — dodajcie lub ujmijcie co uważacie, bo nie mam zdolności literackich, ale niech to idzie w świat, bo są jeszcze ludzie w Polsce, co chwala komunizm. Im było dobrze, więc komunizm był dobry. A tysiące ofiar, nie tylko strat materialnych, które były ogromne, lecz tysiące niewinnych ludzi zakatowanych w więzieniach i łagrach ruskich — to jest nic, to się nie liczy? Może żyje jeszcze gdzieś w Polsce ktoś, kto był świadkiem tego, co prawda mniejszego, ale też niecnego czynu — na podwórzu Szkoły Polskiej Nr 10 — jak się ona do dziś nazywa. Obecnie jest przeniesiona do dawnej szkoły powszechnej im. Marii Magdaleny, po drugiej stronie ulicy.

Z poważaniem

Wiktoria Krzysztofiak
GDAŃSK
ul. Falka Polonusa 24/24

Gdańsk, 30.12.94r.

DOPÓKI JESZCZE PAMIĘTAMY

JERZY PETRYŃSKI

Jerzy Masior w swoim artykule „Pamiętanie, ale jakie — Najbliższe” (S.F. 1/95) pisze: „...Lwów posiadał i zaczął tramwaje, ...nie wiadomo dlaczego balonami zwane. Może dlatego, że zdarzało im się wynosić ponad miasto”. — Otóż wiadomo, i wyjaśnijmy to póki jeszcze pamiętamy, bo po nas nikt już tego chyba nie odgadnie

Pierwotne znaczenie „zrobić coś balonem” miało sens przysłówkowy; balon (piłka, a nie statek powietrzny!) rzucony czy kopnięty leciał z dużą szybkością i stąd stał się niejako tej szybkości symbolem. W tym sensie wyrażenie to jest równoznaczne z „na jednej nodze”: „Skocz do Łazowskiego po „kogutka”, tylko balonem, bo mi głowa pęka!”. Kiedy pojawił się tramwaj, najszybszy wówczas środek komunikacji miejskiej, sens przysłówkowy poszerzył się o rzeczownikowy i balon zaczął oznaczać tramwaj, jako że w porównaniu z dorożką czy tramwajem konnym pędził z ogromną jak na owe czasy szybkością. Tak więc kiedy trzeba było załatwić coś balonem (prędko), to najlepiej było pokatulać się balonem (tramwajem). Moż- na tu dorzucić, że najmielsza jazda balonem była na szwarc, czyli bez biletu, zwłaszcza w czasach sowieckiej i niemieckiej okupacji. Przypomnę tu jeszcze inne typowo lwowskie wyrażenie, którego nie notuje p. Zofia Kurzowa, a które okazało się zagadką nie do rozwiązania i dla p. Ireny Seifert-Nauki zajmującej się naukowo gwarą lwowską. Mam na myśli wyrażenie „ja nas to nic”, które p. Seifert-Nauka zanotowała jako

„janastonic”. Oczywiście, że w takim zapisie i przy tak narzucającej się akcentuacji wyrażenie to jest nie do rozszyfrowania. A tymczasem wyjaśnienie jest całkiem prozaiczne: chodzi tu — za przeproszeniem — o zwykłe, serdeczne „nasermater”. Otóż ciekawym rysem lwowskiej gwary było kamuflowanie wyrażenia wulgarnych. Zamiast więc mówić „ja mu taki wielki nasymatyr jak ratusz” mówiło się w skrócie „ja mu wielki agratusz” —

i kto zgadnie co to takiego ten „agratusz”? To samo dotyczy owego „ja nas to nic”, używanego dla wyrażenia zaskoczenia, zdumienia czy podziwu. Zamiast w takich sytuacjach mówić „O, ja nasermater!”, mówiło się „O, ja nas... to nie nie obchodzi!”, w skrócie „O, ja nas to nic...!” Sylabą „nas...” sygnalizowało się to nieprzystojne wyrażenie, po czym kończyło się całkiem niewinnie, zbijając z tropu i gasząc w zarodku ewentualne zgorzelenie. Inne rozwiązanie tego samego wyrażenia brzmiało „O, ja nas...sypali piasku!”. Ot, takie robienie z tata wariata.

A więc dopóki jeszcze pamiętamy, to wyjaśnijmy te nasze powiedzonka. Wiele z nich ma w sobie i dowcip i urok, i szkoda by było, gdyby wraz z nami poszły w zapomnienie ...



Rys. Fefek

WIEKANOC we LWOWIE

„Moje serce zostało we Lwowie

W moim mieście zieleni i wzgór

A ja chodzę po świecie i ten żal ciągle mam

I zapomnieć nie mogę, że kiedyś, że tam ...”

były cudowne, słoneczne, wiosenne Święta Zmartwychwstania Pańskiego, było odwiedzanie Bożych Grobów w pięknych, lwowskich kościołach, była Rezurekcja u Bernardynów, bicie dzwonów na Alleluja, i był ... dom rodzinny czysty, pachnący a w nim stół świąteczny ze święconką, barankiem, pisankami woskiem malowanymi, hiacyntami i bardzo, bardzo dobrymi wypiekami, m. in. były to:

Baba Wielkanocna

1 szklankę mąki pszennej zaparzyć 1/2 szklanki wrzącego mleka i wlać 1/2 szklanki zimnego mleka. Po ostudzeniu dodać 16 dkg rozdrobnionych drożdży z dwiema płaskimi łyżeczkami mialkiego cukru i 15 żółtek ubitych na pianę w garnku z ciepłą wodą. Gdy ten

roczyn wyrośnie — należy wyspać 3 szklanki mąki pszennej, dodać 1/2 szklanki roztopionego masła, 3/4 szklanki mialkiego cukru, 1/4 płaskiej łyżeczki soli i wyrabiać ciasto przez godzinę. W końcu wyspać 3 dkg migdałów (bez skórki) pokrojonych na wąskie



DANUTA ŚLIWIŃSKA

paseczki, 5 dkg smażonej skórki pomarańczowej pokrojonej na paseczki, 1/2 szklanki rodzynek obtaczanych w mące, kieliszek rumu, ubita, sztywną pianę z 5-ciu białek. Wszystko lekko wymieszać, włożyć do wysmarowanych



masłem foremek i postawić w cieple do wyrośnięcia. Po wyrośnięciu piec w średnio gorącym piekarniku do 45 minut. Sprawdzić patyczkiem, gdy patyczek po wyjęciu z ciasta będzie suchy, można baby wyjmować a po wystygnięciu posypać cukrem pudrem.

Cwibak Prababci

20 dkg mialkiego cukru ucierać z pięcioma wielkimi żółtkami przez 1/2 godziny. Potem dodać 20 dkg mąki pszennej i sztywną pianę z pięciu białek, lekko wymieszać. Dodać szczyptę soli, startą skórkę z 1/2 cytryny (sparzonej), 1/4 laski bardzo drobno posiekanej wanilii, 5 dkg siekanych migdałów (bez skórki), 5 dkg siekanej cykuty, 5 dkg siekanych orzechów włoskich, 5 dkg smażonej skórki pomarańczowej pokrojonej na paseczki, 5 dkg rodzynek obtaczanych w mące.

Wyłożyć ciasto w bardzo wąskie blaszki, posmarowane dobrze masłem. Piec w średnio

gorącym piekarniku do 50 minut. Sprawdzić patyczkiem.

Jak wierzch cwibaka za bardzo się rumieni — przykryć pergaminem.

Mazurek orzechowy z polewą czekoladową

4 żółka utrzeć z czterema kopiatymi łyżkami mialkiego cukru. Do utartych żółtek dodawać na przemian sztywną ubitą pianę z czterech białek i 1/4 funta zmieszanych orzechów włoskich. Do tego dodać skórkę startą z 1/2 cytryny (sparzonej) i 2 płaskie łyżki rozdrobnionych biszkoptów. Następnie położyć cienką warstwę na wysmarowanej masłem i posypaną tartą bułką prostokątną blaszkę. Piec w średnio gorącym piekarniku ok. 1/2 godziny, sprawdzić patyczkiem.

Po wystygnięciu — upieczoną podstawę mazurka nasączyć mocną kawą z ekspresu i pokryć polewą czekoladową.

2 tabliczki czekolady (najlepiej gorzkiej) i 2 łyżki mleka rozpuścić w garnuszku na słabym ogniu. Rozpuszczoną, stygnącą polewą smarujemy mazurki przybieramy połówkami orzechów włoskich oraz paskami usmażonej skórki pomarańczowej i cykuty.



WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

W ostatnich czasach ukazuje się wiele książek o tematyce lwowskiej i o kresach południowo-wschodnich. Są to publikacje wydawane w rozmaitych wydawnictwach, czasami drukowane nakładem własnym autora. Nakłady ich są rozmaite, niekiedy bardzo niewielkie.

Z tych powodów często miłośnikom lwowskiej literatury trudno zorientować się w ich wartości literackiej czy dokumentacyjnej, a nawet w ogóle o fakcie ich pojawienia się na półkach

księgarskich. Pragniemy ułatwić czytelnikom „Semper Fidelis” dostęp do tych książek, a w pierwszym rzędzie informować ich o pojawiających się nowościach z zakresu literatury lwowskiej i kresowej. Będziemy też zamieszczać informacje o punktach ich sprzedaży.

Autorów książek, którzy pragną aby ich praca była zaanonсована w naszym dziale nowości, prosimy o przysyłanie egzemplarza autorskiego książki.

Kazimierz Smulikowski

„DROGA PO KAMIENIACH”

Warszawa, 1994, nakład prywatny.

397 str. + 64 fot. + mapka. Cena 100.-

Autobiografia uczonego o światowej sławie, petrografa i geochemika, napisana jasnym i prostym językiem. Autor — lwowiak, urodzony w 1900 r. — poświęcił prawie połowę tej książki swoim lwowskim i wschodnio-karpaczkim wspomnieniom. Uczestnik obrony Lwowa i wojny polsko-bolszewickiej, barwnie opisuje swoje studia we Lwowie i Wiedniu, pracę uniwersytecką i dzieje okupacji wojennych Lwowa. Po ekspatriacji w 1945 r. późniejsze życie i praca na katedrach uniwersyteckich Poznania i Warszawy przeplata się z licznymi podróżami po całym bez mała świecie. Profesor pisze o tym z humorem a nawet szczyptą autoironii. Podkreśla zawsze swoje lwowskie powiązanie i koneksje, a lwowska przyjaźń z profesorem Henrykiem Teisseyre, później geologiem wrocławskim, towarzyszy dalszemu opisowi życia autora.

Książka jest uzupełniona skorowidzem nazwisk, zawierającym około 800 postaci! Tu mieści się nie tylko cały lwowski i wschodniogalicyski świat rodzinny i uniwersytecki, ale i „tout le monde” polskiej i światowej geologii.

Wydanie bardzo staranne, fotografie czytelnice. Załączona mapka kresów południowo-wschodnich ułatwia odszukanie szlaków wędrówek i pracy Profesora.

[LS/]

Ryszard Ruszel

„RADIOSTACJA OBSZARU AK LWÓW ZAMILKŁA”. Gliwice, 1994, wyd. „PAGINA”.

77 str. + 32 fot. + mapki

i kserokopie dokumentów. Cena 2.80 zł.

Kolejna książeczka a raczej broszurka o lwowskiej tematyce, wydana przez Ryszarda Ruszela, dotyczy ludzi i wydarzeń związanych z Zimną Wodą, dalekim przedmieściem Lwowa. Autor opisuje tragiczną wpadkę radiostacji Obszaru AK Lwów, zlikwidowanej przez Niemców w lipcu 1944 r., i śledzi dalsze losy AKowców z Zimnej Wody. W dalszej części: opis działalności i losów zesłańców księży — AKowców związanych z Zimną Wodą, nauczycieli oraz uciekinierów ukrywających się w Zimnej Wodzie (prof. Hugo Steinhaus).

Te ciekawe i wiarygodne opisy autor uzupełnia wspomnieniem o kapitanie Mieczysławie Lipie z Inspektoratu AK Złoczów, którego działalność jako dowódcy Kedywu musi bu-

dzić szczere zdumienie i chyba niepokój czytelników, gdyż kpt. Lipa ze swymi ludźmi „... wykołoił 22 pociągi” (...) uszkodził dziesiątki lokomotyw, setki wagonów (...) spalił 20 niemieckich samochodów z benzyną (...) zniszczył trzy samochody osobowe” przy czym „zginęło 30 hitlerowców”, na koniec „zdobył dwa czołgi” (str. 71-72).

Tekst prosi się o dokonanie rzetelnej korekty w błędnym piśmiennictwie nazw geograficznych i nazwisk: „Monte Casino” (= Monte Cassino, bez cudzysłowia, str. 44), Dziwnogród (= Dźwinogród, str. 69), Tatiszewo (= Tatiszczewo, str. 44), Galitzien (= Galizien, str. 70), Wermaht (= Wehrmacht, str. 70), Janusz Priiffer (= Pruffer, str. 32 i in.), a także w całej książeczce: Zimna-Woda (z niepotrzebnym łącznikiem).

Załączone fotografie obrazujące głównych bohaterów wspomnień są niestety słabo czytelne.

[LS/]

Praca zbiorowa

„MATERIAŁY OGÓLNOPOLSKIEGO SYMPOZJUM nt: OPERACJA ZBROJNA ARMII KRAJOWEJ KRYPTONIM „BURZA”

NA ZIEMIACH KRESÓW

PŁD.-WSCH. II-giej

RZECZYPOSPOLITEJ W 1944 R.”

Kraków, 1994, wyd. „Platan”.

Opracowanie i redakcja:

Julian Kwiek.

95 str. + 19 fot. + mapki i rysunki.

Książka zawiera przemówienia i referaty wygłoszone w Krakowie na sympozjum zorganizowanym przez Zarząd Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. „Orląt Lwowskich” z okazji 50-lecia akcji „Burza”.

Jerzy Węgierski — relacjonuje przebieg „Burzy” we Lwowie w oczach świadków i we wspomnieniach dowódców sowieckich; Władysław Filar — pisze o działaniach 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w operacji kowelskiej; Grzegorz Mazur — o akcji „Burza” w Obszarze AK Lwów i Okręgu AK Kraków; Ryszard Czekajski — o epilogu „Burzy” na terenach lwowskich; Konrad Sura — o publikacjach konspiracyjnego „Słowa Polskiego” dotyczących „Burzy”.

Książka jest zbiorem cennych historycznych materiałów ukazujących różne aspekty akcji „Burza” w syntetycznym ujęciu. Wartość poszczególnych artykułów powiększają obszerne przypisy dołączone do każdego z nich.

Załączone fotografie (unikalne!) ukazują żołnierzy AK w różnych momentach „Burzy”. Mały, wzruszający element — to rysunki „Felka” — Władysława Załogowicza, wykonane „na kolanie”, w czasie trwania samej akcji.

[LS/]



mgr Andrzej Bradecki

W ostatnich dniach ubiegłego roku w Bibliotece im. Ossolińskich we Wrocławiu została złożona duża monografia mgra Andrzeja Bradeckiego o I-y Państwowym Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym im. M. Kopernika we Lwowie. Uprzednio w 1986 r. została złożona w Bibliotece „mała” monografia tegoż autora. W skład tej obszernej, bo przeszło

300 stron liczącej pracy wchodzi opracowania dotyczące: historii sztabu szkoły, historii powstania Gimnazjum, biogramy profesorów i absolwentów oraz duży album fotografii. Historia powstania szkół w dniu 23 IX 1817 r. udokumentowana jest kopią „Cyrkularze względem utworzenia Szkoły w Realnej we Lwowie”. Działalność szkoły obejmuje okres do czerwca 1940 r., to jest do czasu kiedy zaprzestano nauczania w języku polskim. Losy sztandaru ufundowanego w 1939 r., przechowywanego w czasie wojny w skrytce w szkolnej piwnicy, następnie w domu b. ucznia p. J. Stepka w Bytomiu znalazły swój epilog w troskliwej opiece tej lwowskiej pamiątki brata J. Herbata, ks. St. Bąka i proboszcza ks. St. Dąty — O.O. Jezuitów w Bytomiu.

Autor tych monografii urodził się 27 XI 1913 r. we Lwowie, był absolwentem I Gimnazjum, następnie w 1938 r. uzyskał dyplom Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie. W kompanii wrześniowej brał udział jako plutonowy — podchorąży w 52 pułku piechoty. Dostał się do niewoli, stąd zwolniono go w 1940 r. W latach 1942-43 działał w lwowskiej Armii Krajowej. Po wojnie osiedlił się w Zabrzu. W 1959 r. uzyskał tytuł magistra ekonomii Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Katowicach. Był jednym z założycieli i działaczy Klubu Sportowego — Górnik-Zabrze, co było kontynuacją jego zainteresowań sportowych jeszcze ze Lwowa. Zmarł w Zabrzu 23 X 1990 roku.

Na podstawie autobiografii autora (s. 275, 276 i 328) opracowała Irena Lisak z d. Cegielska, Lwów, ul. Obertyńska 36 (obecnie we Wrocławiu).

aktualności * informacje * apele * aktualności * informacje

Uchwała Senatu AGH
z dnia 18.01.1995 rokuw sprawie poparcia działań
Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi
Lwowskiej

Senat Akademii Górniczo-Hutniczej w pełni popiera działania członków Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej we Lwowie, zmierzające do ukończenia budowy pomnika poświęconego pamięci profesorów polskich rozstrzelanych w 1941 roku we Lwowie.

Senat AGH upoważnia JM Rektora Prof. M. Handke do skierowania na ręce Ministra Spraw Zagranicznych RP prośby o zdecydowane poparcie i pomoc władz polskich dla zamierzeń Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej umieszczenia tablicy zawierającej informację o zamordowaniu „polskich profesorów uczelni lwowskich”.

Zarząd Ogólnopolskiego Klubu „Mościska” w Przemyślu zwraca się do Was z prośbą o wsparcie finansowe rozpoczętej przez nas akcji.

Otóż Księża z Mościsk zwrócili się z apelem o ufundowanie 100 kg dzwonu do odzyskanego od władz Ukrainy — klasztoru ojców Redemptorystów w Mościskach. Remont kościoła trwa, choć jedna nawa i główne wejście wciąż jeszcze nie są oddane Kościołowi.

Przeprowadziliśmy rozmowę wstępną z właścicielem Odlewni Dzwonów p.p. Felczyńskich w Przemyślu, koszt takiego dzwonu wynosić będzie około 20 milionów złotych.

Członkowie Klubu w Przemyślu, sami nie są w stanie sfinansować tej akcji. Bardzo dużą pomoc w postaci darów rzeczowych, żywności, odzieży, książek oraz wsparcia finansowego, świadczymy tak wobec Polaków w Mościskach jak i okolicznych wsi a także wobec nowo wybudowanego, konsekrowanego w dniu 27 sierpnia 1994 r. kościoła w Strzelczyskach k/Mościsk.

Zwracamy się z prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli o pomoc. Wspólnymi siłami z pewnością ufundujemy i prześlemy upragniony dzwon, który jak dawniej zabrzmiał w wieży kościelnej w Mościskach.

Wpłaty można dokonywać bezpośrednio przekazem pocztowym na adres Ogólnopolski Klub „Mościska” ul. Grodzka 6 37-700 Przemyśl lub na konto w Banku Spółdzielczym Przemyśl 664-271-0004-01-01.

Wszystkim ofiarodawcom z góry składamy serdeczne podziękowania.

Z-ca Przewodniczącego
Tadeusz KurtyczPrzewodnicząca
Zofia Pelc

Kraków, 2 II 1995 r.

Minister Spraw Zagranicznych
Rzeczypospolitej Polskiej

Szanowny Panie Ministrze

Uprzejmie informuję, że Senat Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie podjął dnia 18 stycznia 1995 roku uchwałę, która w pełni popiera działania członków Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej we Lwowie, zmierzające do ukończenia budowy pomnika poświęconego pamięci profesorów polskich rozstrzelanych we Lwowie w 1941 roku.

Zupoważnienia Senatu AGH zwracam się do Pana Ministra z prośbą o zdecydowane poparcie i pomoc władz polskich dla zamierzeń Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej umieszczenia na obelisku pomnika tablicy, zawierającej dwujęzyczną poprawną informację o zamordowaniu „polskich profesorów uczelni lwowskich”.

Łączę wyrazy szacunku

Prof. dr hab. Miroslaw Handke

Lwów 1995-02-06

Spółeczność polska we Lwowie zwraca się z prośbą o pomoc w odbudowie kaplicy Najświętszej Maryi Panny przy ul. Łyczakowskiej 113.

Wielu członków Towarzystwa pamięta zapewne tę łyczakowską kapliczkę, dlatego zwracamy się do naszych rodaków z gorącym apelem o pomoc w odbudowie. Poszukujemy wszelkich pamiątek związanych z kaplicą, przede wszystkim chodzi nam o zdjęcia ukazujące wnętrze kaplicy. O ile łatwo jest odtworzyć zewnętrzną stronę budowli, tak wielkie trudności napotykamy z odtworzeniem jej wnętrza. Dlatego nasza gorąca prośba o pomoc.

Istnieje również druga strona prośby. Gdyby Towarzystwo dysponowało środkami finansowymi i mogło wesprzeć nasze działania, to również prosimy i o taką formę pomocy. Z każdej waszej ofiary rozliczymy się i zdamy sprawozdanie. Nie prosilibyśmy o tę drugą pomoc, gdyby nasza sytuacja finansowa była inna. Zbieramy co prawda fundusze we Lwowie, ale to wszystko stanowi kroplę w morzu potrzeb. Dotychczas uzbieraliśmy zaledwie na projekt odbudowy, a władze państwowe postawiły ultimatum, że jeżeli nie rozpoczniemy budowy w 1995 roku to cofną pozwolenie. Dlatego też zwracamy się do Was z naszymi prośbami, myśląc jednocześnie, że nasz apel nie pozostanie bez odzewu.

Z franciszkańskim pozdrowieniem
„Pokój i dobro”
o. Sławomir Zieliński

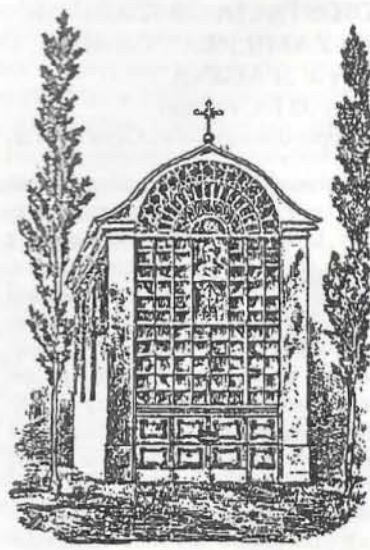
W czasie sowieckiej okupacji Ziemi Lwowskiej NKWD rozmieściło kilkanaście tysięcy polskich jeńców wojennych w około stu obozach. Jeńcy pracowali przy budowie dróg z Przemyśla do Lwowa-Równego i ze Lwowa do Podwołoczysk. W chwili wybuchu wojny z Niemcami jeńcy byli pędzeni na wschód i po drodze prawie wszyscy zostali wymordowani, zakłuci bagnietami, zastrzeleni bądź spaleni.

Do dnia dzisiejszego nie uzyskano żadnych dokumentów archiwalnych. Próby uzyskania pomocy w dotarciu do miejscowej ludności, mimo apeli zwróconych do Konsulatu Polskiego we Lwowie, Arcybiskupstwa Lwowskiego, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz organizacji polskich na Ukrainie, nie przyniosły rezultatu, gdyż czas i przemieszczanie ludności czyniły je nierealnymi.

Śmierć i męczeństwo kilkunastu tysięcy polskich jeńców — żołnierzy i podoficerów poległych na polskiej ziemi nie może być zapomniana.

Ponieważ z dróg, które oni budowali mały odcinek z Przemyśla do Medyki znalazł się w naszym państwie, uważamy, że na tym odcinku tuż przy drodze powinien stanąć symboliczny grobowiec-pomnik upamiętniający ofiarę życia polskiego żołnierza. Mamy już na to zgodę Prezydenta Miasta Przemyśla, który swoje stanowisko wyraził w takich słowach: „wniesiony pomnik uczci pamięć ofiar okupacji sowieckiej, którzy polegali w obozach zmuszani do wykonywania nieludzkiej pracy, stanie się symbolem pamięci wszystkich pomordowanych”.

Zwracamy się do władz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich z apelem o przyłączenie się do tej akcji i wsparcia jej swoim autorytetem, a to w celu kontynuowania dalszych starań u kompetentnych instytucji w realizacji naszej inicjatywy.

LITOGRAFIA - rok 1856.
Kaplica Matki Boskiej Łyczakowskiej.

aktualności * informacje * apele * aktualności * informacje

Do pracy naukowej poświęconej Kontroli Państwowej w II RP poszukiwane są wszelkie informacje dotyczące Okręgowej Izby Kontroli we Lwowie (obejmującej kontrolę tereny województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego). Szczególnie potrzebne są wiadomości o urzędnikach Izby oraz ich losach od 1.09.1939 r. i po zajęciu miasta przez Sowieć (mobilizacja, aresztowania, wywózki, kto przeżył etc.).

Podajemy znane nazwiska: prezes Gustaw Wax-Monasterski, naczelnicy wydziałów: mgr Leonard Cyganik, inż. Adam Młodnicki, inż. Marian Przetocki, Eugeniusz Herman, dr Filip Czekowski. Chodzi także o radców i niższych urzędników Izby. Wszyscy posiadający jakiegokolwiek dane na ten temat — proszeni są uprzejmie o szybkie przesłanie informacji na adres Redakcji „Semper Fidelis”.

Przysłał p. prof. R. Szawłowski
ul. Wilcza 8/15,
00-532 Warszawa
tel. 623-08-20

Pamięć lwowska oraz współczesne encyklopedie, szczególnie wydane w PRL, zawiodły, jeżeli chodzi o informowanie o zasługach i działalności lwowiaków w niedalekiej nawet przeszłości. Dlatego m.in. sprostowania i uzupełnienia wymagają także informacje podane przez prof. historii i teorii literatury A. Hutnikiewicza w „Semper Fidelis” nr 23, str. 38.

Długoletni redaktor „Wieku Nowego” wydawanego we Lwowie w latach 1901-1939 — Bronisław Laskownicki (1866-1944), zasłużony prezes miejscowego Związku Dziennikarzy w okresie międzywojennym nie był, jak to podaje peerelowska 13-tomowa Wielka Encyklopedia Powszechna założycielem pierwszej na ziemiach polskich organizacji dziennikarzy we Lwowie w 1893 r. (był wówczas początkującym dziennikarzem, miał lat 27), lecz zasłużony dla polskiego Lwowa w Galicji — Liberat Zajączkowski (1844-1901).

Zajączkowski był założycielem w 1869 r. i redaktorem pionierskiego czasopisma humorystycznego „Szczutek”. Redagował pismo do roku 1893, a następnie poświęcił się zorganizowaniu zawodowego Związku Dziennikarstwa lwowskiego i galicyjskiego, którego prezesem pozostał do śmierci w 1901 r.

Informuje o tym Encyklopedia Trzaski, Everta i Michalskiego t. V r. 1928 s. 1103. Jako wydana w okresie międzywojennym, życzliwym dla Lwowa i lwowian, jest na pewno bliższa prawdy niż „trącona” marksizmem PAN-owski Wielka Encyklopedia Powszechna. Ta sama „Wielka Encyklopedia” Państw. Wyd. Naukowego, która jeszcze w latach sześćdziesiątych nie zamieściła hasła „KATYN”, podczas gdy figuruje ono w „małej” encyklopedii PWN już w 1959 roku, tyle że wskazuje na hitlerowców jako sprawców ludobójstwa jeńców, oficerów polskich! Półprawda gorsza od kłamstwa lub kłamstwo przez przemilczenie — oto cechy „naukowej” informacji peerelowskich wydawnictw pseudonaukowych.

Tadeusz Krzyżewski, Kraków

W numerze 4/94 „Semper Fidelis” na str. 18 pan Adam Gajda opisuje potyczkę z ukraińską policją przy ul. Piotra i Pawła. Wy-padek ten opisany jest przez historyka p. Stanisława Pemplę i opis wydarzeń relacjonowany przez p. Pemplę jest prawdziwy. Wiadomo lata zacierają w pamięci wiele faktów.

Tramwaj nr 4 nie jeździł ul. Łyczakowską. Jeździła trójka i skręcała w Piotra i Pawła (przy cerkwi) a chcąc jechać na górę Łyczakowa (do rogatki) należało przesiąść się na jedynek.

Transport broni odbywał się istotnie z przegodami w godzinach popołudniowych, natomiast starcie z policją miało miejsce w godzinach rannych.

Wspominacie Państwo o konspiracyjnej Szkole Podchorążych Piechoty, której komendantem był „Włast” — rotmistrz Dunin — zmarły przed kilku laty.

Radzę zwrócić się do p. mgr. Stanisława Pemplę, który był wspaniałym żołnierzem lwowskiego AK, więźniem gestapo i uczestnikiem Powstania Warszawskiego.

Cała Rodzina Państwa Pemplów — kochanych Lwowian godna jest specjalnego uwiecznienia na kartach „Semper Fidelis”.

Łączę wyrazy szacunku

Robert Drzewiecki

Errata do artykułu p. MARII WANKE-JERIE „150. rocznica Politechniki” (S.F. Nr 23, str. 14):

- ➡ Jest: „—Włodzimierz Stożek — matematyk, specjalista funkcji zmiennej”
- ➡ Winno być: „... specjalista funkcji zmiennej zespolonej”.

- ➡ Jest: „Po wojnie nastąpił wielki exodus ludności polskiej ze Lwowa na tzw. Ziemię Odzyskaną — głównie na Dolny Śląsk i do Wrocławia.”
- ➡ Winno być: „... — głównie na Górny Śląsk i do Wrocławia.”



GRATULACJE

Gazecie Lwowskiej z okazji wydania 100-go numeru Redakcja Semper Fidelis składa gratulacje wraz z życzeniami by była stale obecna w pejzażu polskich pism kresowych, krzepiąc ducha i integrując społeczność polską na Ziemi Lwowskiej.

Redakcja Semper Fidelis

Poszukuję Marii Lindscheid z d. Szawłowska, wywiezionej z ojcem p. Szawłowskim i małą córeczką do Kazachstanu. Ostatni raz widziałam ją na jakiejś stacji kolejowej w Kazachstanie w 1942 r, gdy jechałam na południe Rosji. Wszelkie wiadomości proszę przesłać na adres:

Maria Sniadowska Komornicka

2028 S. 30 St.
Milwaukee, WI 53215
U.S.A.

W poprzednim numerze Semper Fidelis z przyczyn technicznych nie została zamieszczona piękna reprodukcja schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy w Sławsku. Miała być ilustracją do artykułu pt. Kresy na starej karcie pocztowej. Serdecznie za to przepraszamy Właściciela wspaniałej kolekcji „starych kart pocztowych” i autora artykułu Pana Tomasza Kubę Kozłowskiego.

Na str. 19 została przez pomyłkę dwukrotnie zamieszczona winieta publikacji dra A. Kormana. W tym miejscu powinna być winieta trzeciej publikacji. Tytuł jej brzmi: Nieukarane zbrodnie SS-Galizien z lat 1943 — 1945.

OD REDAKCJI

Otrzymujemy od naszych Szanownych Czytelników wiele tekstów z prośbą o opublikowanie, w tym dużo wierszy. Tych ostatnich jest tyle, że wydrukowanie ich przekracza objętościowe możliwości pisma. Dlatego też możemy je zamieszczać jedynie stopniowo, w związku z czym część z nich musi czekać na swoją kolej przez dość długi czas. W tej sytuacji myślimy o wydaniu specjalnego numeru poświęconego wyłącznie „Wierszom pisanym sercem”. Wobec ilości wierszy już nadesłanych byłby to numer dość opasły, a prawdopodobnie trzeba by myśleć o wydaniu drugiego. Istotną przeszkodą w tej inicjatywie są uwarunkowania finansowe, które w naszej sytuacji są trudne do pokonania. Będziemy się jednak starali zrealizować ten projekt.

Równocześnie przepraszamy, że nie jesteśmy w stanie powiadamiać indywidualnie P.T. Autorów o losach nadsyłanych przez Nich materiałów. Czynność ta wymagałaby zatrudnienia specjalnej opłaconej sekretarki, gdy tymczasem pismo Semper Fidelis jest wydawane w oparciu o dobrowolne datki, a przez Redakcję na zasadzie pracy nieodpłatnej. Mamy nadzieję, że w tej materii spotkamy się ze zrozumieniem Szanownych Autorów.



Żegnaj
Staszku!

Nieubłagane
przesuwają się wska-
zówki zegarów, spa-
dają kartki z kalen-
darzy — mija czas.
Gasną palące się
świece, gasną w
miałę przemijania
czasu ludzkiego ży-
cia. Niedawno, bo w
marcu odszedł od
nas nasz Przyjaciół
Staszek Machowski

— lwowianin, sybirak, dziennikarz, autor serdecznej książki o Naszym Mieście pt. „Bernadyński mijam plac”. Do ostatnich chwil swego życia trzymał rękę na pulsie lwowskich spraw — „nic co lwowskie...”. Odszedł od nas zawsze uśmiechnięty, z wiarą, że wróci do Miasta Semper Fidelium. Na zawsze przylgnęła Go wrocławska ziemia złączona z grudką ziemi z Łyczakowskiego Cmentarza, rzucona ręką przyjaciół.

Zdziszek O.



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że po długiej i ciężkiej chorobie w dniu 22 marca 1995 r. zmarł

Ś. † P.

Prof. dr hab. STANISŁAW KARPIAK

urodzony w 1920 r. we Lwowie, emerytowany profesor Akademii Rolniczej we Wrocławiu, Kierownik Katedry Biochemii, Dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej w latach 1965-68, Uczeń wielkiego biochemika, Jakuba Parnasa, kontynuator lwowskiej tradycji w nauce, Człowiek prawy i wielkiego serca. Był autorem sercem pisanego artykułu zamieszczonego w S.F. nr 17 o swych młodzień-
czych, łyżczakowskich latach.

16 lutego 1995 r. odszedł od nas na wieczny spoczynek

Ś. † P.

Zbyszek Michał Groszek

major 305. Dywizjonu P.S.P.

Absolwent Lotniczej Szkoły Orłąt w Dęblinie w 1939, więzień łagrów, bohater bitwy o Wielką Brytanię. Wspaniały Człowiek, Przyjaciół, Wielki Patriotą, Lwowiak.

Odprowadziliśmy Cię Zbyszeku do Amerykańskiej Częstochowy w Aleję Lotników

żona Irena, przyjaciele i koledzy

O MEMORIAŁ STASZKA MACHOWSKIEGO

ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI

Tak to się przecież jakoś w sporcie nazywa, a On się właśnie zajmował sportem — w przerwach oczywiście, kiedy nie był zajęty Lwowem. Do niedawna...

Nie byłem na tym pogrzebie, przeszkodził mi w tym wyjazd do Olsztyna — też zresztą w sprawach Lwowa i Kresów. Zebranie tamtejszego oddziału rozpoczęło tradycyjną minutą ciszy, tak jak to bywa coraz częściej i w innych regionach. Jest nas coraz mniej — niby to naturalne, ale i przykre. Nie przypuszczałem, że stanie się to dla mnie takie aktualne zaraz po powrocie...

Nie byłem na tym pogrzebie, nie przydałem grudki wrocławskiej ziemi do ziemi lwowskiej, nie nie mówiłem i tak się czuję, jakbym Mu był coś winien. Stąd tych parę słów poniżej.

Znaliśmy się jeszcze we Lwowie. W 1944 r. chodziliśmy do XI-cj budy, choć do różnych klas. W czasie Obrony Lwowa w 1918 r. była tam siedziba

Milicji Obywatelskiej (a jakże ...). Miejsce wielce historyczne: z jednej strony ulica Grunwaldzka, gdzie Komenda Naczelna Obrony Lwowa (nr 8, potem 9) — z drugiej szkoła im. Sienkiewicza, pierwsza placówka. A my w środku tradycji...

Mieliśmy wspólnych profesorów, kolegów i wspólne przeżycia dramatyczne. Po tzw. Olimpiadzie artystycznej między dwiema szkołami polskimi i ukraińską, gdzie miały miejsce patriotyczne demonstracje — nastąpiły aresztowania, wywózki i ucieczki do Polski. W 1945 r. trafiliśmy do obozu „Wojennej Podgotówki” na Kleparowie. Była to bardzo ciekawa impreza pod względem socjologicznym: konfrontacji kultur, postaw i doświadczeń. Z jednej strony chłopcy z domów inteligenckich (Nowy Świat!) — z drugiej batiarnia z Domów Kolejowych, czyli „Parlamentu” i Lewandówki. Synowie profesorów akademickich (np. Krzysiek Westwalewicz, Tadeusz Zipser) spali „siennik w siennik” (bo rąwet przyz nie było ...) z proletariackimi nygusami. Docierało się bractwo w tych trudnych warunkach i w dobrym i w złym. Obie strony mogły się od siebie nawzajem wiele nauczyć. Nie brakowało też okazji do patriotycznych numerów. Ten płodny zakwas wydał z siebie później m.in. rektorów wrocławskich uczelni,

dziennikarzy, inżynierów, podróżników, lekarzy, artystów. Może i nie spełniła ona założeń programowych radzieckich organizatorów, ale była to nader pożyteczna impreza.

Były potem liczne okazje we Wrocławiu, aby sobie te czasy przypomnieć. Staszek brał aktywny udział we wszystkich z kolei imprezach naszego ruchu. Od pierwszego spotkania przygotowawczego (w SD przy ul. Teatralnej) poczynając. Potem oczywiście na Zebraniu Walnym w Filharmonii. On też zamieścił w swoim „Wieczorze Wrocławia” pierwszy komunikat o utworzeniu TML!

Potem jego notatki informowały stale o życiu i poczynaniach naszej młodej organizacji. W ślad za nimi poszedł cykl gawęd o Lwowie, które przeprowadził z Wojciechem Dzieduszyckim. Zebrał przy tym materiał do swojej pierwszej książki: „Bernadyński mijam plac”. Miały być i następne. Był też cykl sylwetek popularnych lwowiaków i wywiady z tymi, którzy coś dla Lwowa uczynili. Zawsze był wyczułony i wrażliwy na dźwięk wszystkiego, co dotyczyło jego miasta.

Kiedy rozpoczął kolejny cykl, comiesięcznych wkładek w „Wieczorze Wrocławia”, pod tytułem: „Wieczór we Lwowie” — robiliśmy drobne korekty, planowaliśmy wspólnie treść następujących artykułów i zdjęć. I trzeba będzie chyba zadbać, aby Jego marzeniem stało się zadość, aby ta cenna inicjatywa nie zaginęła.

Mówi się później, że zmarł na serce — przypadek, która najczęściej ścina mężczyzn w naszych niełatwych i niespokojnych czasach. Tak to przynajmniej wynika ze statystyk. Ale statystyka, to przecież rodzaj reguły, a każda reguła ma swoje wyjątki. A może, po prostu, to jego lwowskie serce nie wytrzymało tęsknoty za rodzinnym miastem ...? ! Któż z nas może wiedzieć, co to się innym śni i marzy...



Na zdjęciu: Staś Machowski znajduje się w środku, (w białym ubraniu!) na prawo od stojącego tam oficera. Po prawej od Staszka — Tadek Zipser. Na lewo od oficera autor powyższych wspomnień, obok niego Henryk Sienkiewicz (tak, tak ...), następnie Jurek Juszcak, późniejszy rektor Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Na skraju zdjęcia po prawej, dowódca naszego oddziału, por. Sagomian, Ormianin — bardzo porządny facet!

SUMMARY

- | | |
|--------------------------------|---|
| p. 1. J. Masior | — Easter Greetings. |
| p. 1. D. Nespiak | — Losses in Polish nation due to exile of East Borderland population by Soviet authorities (about 1,5 million, in this number about 250 thousand soldiers). |
| p. 3. J. Masior | — St. Anthony's Square in Lwów. |
| p. 5. T. Cieszyński | — Didactic activity at the Jan Kazimierz University under the first Soviet occupation. Murder of 27 University professors by Germans on 4th July 1941. Transformation of the Faculty of Medicine into substitutional „Staatliche Medizinisch-Naturwissenschaftliche Fachkurse”. Clandestine activity of the Faculty Council: conferment of scientific degrees. |
| p. 8. A. Wartalski | — History of Krystynopol, which once had been the property of the eminent Potockis' house. After World War I it became but a little town. After World War II the town situated on coal deposits was by Polish communist government given up to the Soviets. |
| p.10. A. Wypych-
-Gawrońska | — History of the Lwów opera and operetta within the period of 1872-1918. After annexation of Lwów by Austria the Opera House made an important Polish cultural institution. There were produced as well Polish as Italian, German and other operas. The performers were known Polish artists, later on appearing even on stages of La Scala, Metropolitan and others. |
| p.12. L. Sawicki | — Supplement to the former article concerning the action STORM which was to take the country over by force of arms from the retreating German army. The invading Soviet troops destroyed Polish detachments fighting against Germans and arrested Polish Home Army soldiers. |
| p.15. E. Hlib | — A young postman draws his vision of pre-war Polish Lwów. |
| p.17. E. Danek | — During German occupation of Lwów there were organized secret study groups for instruction of youth. Participation in such a clandestine teaching was threatened with confinement in a concentration camp and even death. |
| p.17. Wł. Menko | — An episode of German police arresting a Polish teacher, who only by a miracle saved her neck. |
| p.18. J. Kaluscha | — Participants of past clandestine teaching in Lwów could meet under communist government but in conspiracy in cloisters or churches. |
| p.21. J. Ragankiewicz | — The author, then a young boy, describes the expulsion of his family from their house in Lwów and arrival to a new place of their exile. |
| p.23. K. Bulzacki | — Biography of Polish general Stanisław Maczek whose armoured brigades liberated many French, Belgian and Dutch towns during World War II. |
| p.29. | — Letters to the Editors. |
| p.25. | — From the life of the Society. |
| p.33. | — Review of a book. |
| p.35. | — Current Events. |
| p.35. | — Inquires about lost persons. |
| p.36. | — Obituary Column. |

Lista Ofiarodawców w lutym i marcu 1995 r.

1. Michał Siera, Warszawa	20	14. Andrzej Niesiołkowski, Warszawa	5	26. Janina Blum, Wrocław	10
2. Stanisław Mossoczy, Bielsko Biala	10	15. Tadeusz Świątnicki, Przemyśl	10	27. Józef Bieńko, Stalowa Wola	30
3. Harcerski Krąg Obrońców Lwowa Kraków	75,6	16. Wanda Klimkowicz, Szczawnica	10	28. Jan Hupałowski, Wrocław	5
4. Jan Dubianik, Kędzierzyn-Koźle	10	17. Wiktor Mokanek, Jelenia Góra	10	29. Helena Niwińska, Kraków	30
5. Zbigniew Lachowski, Wschowa	2	18. Adam Akielaniek, Głogów	10	30. W.A. Podoleccy, Kielce	10
6. Stanisław Tarnowski, Poznań	5	19. dr Michał Mikusiewicz	20	31. Roman Makarewicz, Nowy York USA	36
7. Piotr Klich, Przemyśl	100	20. Bronisław Suchecki, Wrocław	5	32. Marek Ściślak, Brzeg	500
8. Zbigniew Kubas, Brzozów	30	21. Stanisława Bilińska-Tomczak, Zielona Góra	30	33. Grażyna Stankiewicz, Bydgoszcz	2
9. Władysław Nowicki, Koźuchów	4	22. Antoni Żebracki, Olsztyn	5	34. J.J. Strzeleccy, Wrocław	5
10. Leszek Michalewski, Opole	30	23. J.J. Duszyński, Gdynia	515	35. Stanisław Piela, Rzeszów	10
11. Edward Adles, Kraków	3	24. TMLiKPW, Klub Sądecki Nowy Sącz	50	36. TMLiKPW Klub Terenowy w Kępnie	46.84
12. Edward Prus, Gliwice	10	25. Andrzej Haniszewski, Pyskowice	30	37. Maria Żurawska-Gangi, Toruń	5
13. Krzysztof Braun, Sokole	10			38. Nadina Tyzenhaus-Pietruska, Kraków	5

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania

Od Wydawcy

Zarząd Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” dotacza swoje serdeczne życzenia świąteczne dla wszystkich Czytelników, oraz zawsze nam drogich Rodaków żyjących za granicami Polski.

— Wesołego Alleluja i smacznego tradycyjnego Jajka Wielkanocnego!

● Ponawiamy informację o koszcie rocznych prenumerat:

Semper Fidelis	15,00
Gazeta Lwowska	12,00
Dziennik Kijowski	12,00

Uwaga! dla prenumerat zagranicznych dochodzą jeszcze bardzo teraz drogie porta pocztowe, zwłaszcza lotnicze.

● W piśmie naszym S.F. w Nr. 1 (24) 95 ogłosiliśmy przedpłaty na książki, które Fundacja pragnęłaby wydać w roku bieżącym. Niestety, dotychczasowe wpłaty nie zabezpieczają kosztu rozpoczęcia druku. Apelujemy więc do naszego Kresowego Środowiska, może znajdą się sponsorzy, którzy mogliby udzielić bezprocentowej pożyczki na wydanie którejs z wymienionych pozycji książkowych. Gwarantujemy zwrot pieniędzy po rozpoczęciu sprzedaży książek. W dalszym ciągu oczekujemy na przedpłaty, które bardzo pomogą nam w wydaniu tak ciekawych książek ogłoszonych w poprzednim numerze.

● Oferujemy również przyjmowanie ogłoszeń reklamowych na okładkach wydawanych książek.

● Pomóżcie! Nie możemy przecież pozwolić, żeby zawarty w książkach opis minionego świata, nasze przeżycia nie raz tak tragiczne i bohaterskie, poszły w niepamięć i przeminęły wraz z nami.

● Fundacja poczuwa się do obowiązku szerzenia wiedzy prawdziwej o naszej młodości, o czasach naszych rodziców i dziadów, poprzez wydawanie książek, których rękopisy są przysyłane coraz częściej.

● Prozaicznie jednak, nie mamy pieniędzy. Jest coraz mniej ofiarodawców, mniej prenumeratorów, zmniejsza się zapotrzebowanie Oddziałów TKPLiKPW na Semper Fidelis. Duża ich część znacznie zalega z płatnością. W tej sytuacji nakład spada, a koszty wydawnicze i ogólne rosną.

● Fundacja nie jest wspierana przez żadne czynniki centralne ani samorządowe. Utrzymuje się dzięki społecznej zazwyczaj pracy ludzi oddanych sprawie i ofiarności społecznej. A tak dużo i pilnie jest do zrobienia! Na przykład potrzebujemy samochód typu „Bus” do akcji charytatywnej. Ofiarność ludzi jest duża, odpowiadają zawsze na nasze apele. Ale jak pokonać trudności transportowe? Paczki trzeba zwieźć z terenu województwa, jak też zawieźć je na wschód bezpośrednio potrzebnym. Są nimi polskie wsie, gdzie po likwidacji kolchozów, nasi rodacy żyją w skrajnej nędzy. Posiadamy orientację, te polskie wsie przetrwały do dziś, gdyż kiedyś miały dobrą samoobronę AK. Teraz ich wnukowie nie mają butów żeby iść do szkoły. Trzeba im natychmiast udzielić pomocy!

● Chętnie przyjmujemy używany samochód lub datki na jego zakup.

● W tej sytuacji jakże przykro nam czytać w mass-mediach, ostatnio coraz częściej opisujących bezkarne trwonienie olbrzymich pieniędzy państwowych przez różne Fundacje. Pomyśleć tylko, że mając jedynie 10% tych dotacji, ile książek można by było wydać i ile dobrego zdziałać dla naszych Rodaków.

W imieniu Zarządu Fundacji
Dyrektor
mgr Danuta Tabińska Juhasz